dobry tygodnik sądecki

dts 24

23 lipca 2020 | nr 29-31 (506-508)
gazeta bezpłatna nakład: 12 000

Jedni sami odchodzą, innych radnych chcą odwołać

» str. 3 i 9

FOT. WOJCIECH MOLENDOWICZ

TYGODNIÓWKA *MARKA STAWOWCZYKA*

Wspomnienie

Urzędnik o cechach psychoterapeuty

Jak wynika z naszego redakcyjnego peselu Wydawnictwo Dobre i „Dobry Tygodnik Sądecki" obchodzą w tym roku 10-lecie. Kompletnie jednak nie planowaliśmy, że w ramach jubileuszowych wspomnień będziemy musieli napisać również pożegnanie. Takie definitywne.

Na początku lipca zmarł Rafał Skut – na co dzień pracownik jednego z sądeckich oddziałów Łąckiego Banku Spółdzielczego. Tak się złożyło, że Rafał Skut od pierwszego dnia obsługiwał nasze wydawnictwo z ramienia firmy, którą reprezentował. Zakładał nasz rachunek bankowy i przeprowadzał przez wszystkie formalności. A kto lubi przechodzić przez jakiekolwiek formalności, niekoniecznie tylko bankowe? Ale po dziesięciu latach, właśnie dzięki Rafałowi Skutowi możemy powiedzieć, że obsługa bankowa i związana z tym biurokracja, była dla nas całkowicie nieuciążliwa. Urzędnik bankowy o cechach psychoterapeuty, dzięki któremu wizyta w banku nigdy nie była niedogodnością, a najbardziej skomplikowane operacje i wiążące się z tym dokumentacyjne korowody, stawały się lekkostrawne jak bułka z masłem. Sielanka.

Po dziesięciu latach i niezliczonych wizytach w Łąckim Banku Spółdzielczym możemy chyba powiedzieć, że ten człowiek na poczekaniu rozwiązywał za nas wszystkie problemy. Zawsze się przy tym uśmiechał, jakby nieco zawstydzony, że musi nam zabrać trochę więcej czasu niż byśmy chcieli na to poświęcić. Zawsze życzliwy, cierpliwy, sumienny, szukający najlepszego rozwiązania dla klienta. Nigdy nie okazywał zniecierpliwienia, nawet kiedy ze strony klienta – czyli naszej – padały najdziwniejsze pytania, pozwalające Mu na kilometr wyczuć finansowych profanów. Nigdy się nie irytował, ani nie denerwował. Tym większe było nasze zdumienie, kiedy dowiedzieliśmy się, że serce nagle odmówiło współpracy młodemu przecież człowiekowi, którego uważaliśmy za oazę cierpliwości i niewzruszonego spokoju. Takich ludzi jak zmarły Rafał Skut życzylibyśmy sobie w każdym urzędzie i na każdym stanowisku. Prowadzenie firmy byłoby wówczas dużo prostsze i przyjemniejsze. Będzie nam brakowało Jego charakterystycznej sylwetki od dziesięciu lat przy tym samym stanowisku obsługi klienta Łąckiego Banku Spółdzielczego.

Zupełnie przypadkiem – choć oczywiście nie wierzymy w przypadki – w drugim numerze „Dobrego Tygodnika Sądeckiego, z października 2010 roku zamieściliśmy tekst o Stanisławie Skucie – legendarnym strzygaczu owiec z Maszkowic k. Łącka. Aż do dzisiaj nie wiedzieliśmy, że Rafał Skut był właśnie synem Stanisława. W tym samym mniej więcej czasie, mieliśmy okazję poznać obydwu. Nigdy – mimo setek okazji – nie porozmawialiśmy o tym. Ta akurat sprawa, choć pewnie marginalna, pozostanie niezałatwiona. Wszystkie inne zostały załatwione wzorowo.

Przekazując rodzinie Zmarłego Rafała Skuta szczere wyrazy współczucia, chcemy wyrazić głębokie przekonanie, że przedwcześnie odszedł dobry człowiek. Łącki Bank Spółdzielczy stracił bardzo dobrego pracownika.

Wydawnictwo Dobre, „Dobry Tygodnik Sądecki"

Z gór widać lepiej

Rewolucja w maseczkach

Wojciech Molendowicz
Z gór widać lepiej

No to mamy rewolucję. Na razie mocno zakonspirowaną. Taką romantyczną, jak za pierwszej Solidarności, 40 lat temu. Przywódcy zeszli do podziemia, a ruch społeczny, który próbują wprawić w ruch, ma za zadanie zmieść z powierzchni Ziemi Radę Miasta Nowego Sącza. Na razie Ziemia zadrżała pod ratuszem na tyle, ile jej przerzuciła operująca tam koparka. Przywódcy miejskiej rebelii obrali oryginalną strategię rozniecania rewolucyjnego ognia. Z grubsza polega ona na niekomunikowaniu się ze światem zewnętrznym i udawaniu Greka w Nowym Sączu. A może to będzie taka trochę rewolucja goździków – wrzucimy posta na fejsa, a radni dobrowolnie opuszczą ratusz z podniesionymi rękami i będzie po robocie. Parafrazując słynne już powiedzenie Leszka Zegzdy: tylko radnym wydaje się, że całe miasto zaraz po przebudzeniu biegnie sprawdzić, co tam nowego w magistracie. Podobnie wydaje się rewolucjonistom. Tymczasem ani komunikacja miejska nie zamarła z wrażenia na wieść o planowanym referendum, ani ceny czereśni na Maślanym Rynku nie zanotowały giełdowych rekordów. Obywatele zmęczeni polityczną gorączką ostatnich tygodni i rozdrażnieni przedburzowym upałem uznali, że rady miasta obalać nie trzeba. Rada się sama obala. Większość uprawnionych do obalania poprzestała na obalaniu zimnego piwa w lipcowy wieczór. Zachowując przy tym chłodny dystans społeczny. Zalecenia epidemiczne nie przewidziały, czy rewolucjoniści powinni na czas rewolucji przebywać w maseczkach.

Liczba tygodnia

40 000

tyle pojazdów w ciągu doby przejeżdżało dotychczas zamkniętym mostem przy ul. Kamiennej, czyli głównej drodze łączącej Nowy Sącz z gminą Kamionka Wielka. Obecnie wszystkie te samochody jeżdżą prowizorycznymi objazdami.

Przeczytane

Przewietrzyć głowę, powytrząsać niepotrzebne myśli

„(...) Jakiś czas temu, niedawno, będąc już całkiem dorosłą kobietą, miałam szczęście spędzić kilka tygodni w pięknym drewnianym domu w miejscowości Wierchomla w Beskidzie Sądeckim. Przez większość czasu byłam tam zupełnie sama, zajęta czytaniem i pisaniem. Była jesień, zrobiło się zimno. Paliłam w piecu i codziennie wyprawiałam się na długie spacery, żeby przewietrzyć głowę, powytrząsać niepotrzebne myśli, nazbierać nowych widoków, zapachów i dźwięków i zadzwonić do bliskich ludzi. W domu nie było zasięgu i był to chyba ostatni w moim życiu tak długi czas bez internetu. Nie było też luster, poza jednym, nad umywalką, małym, upstrzonym i powieszonym trochę za wysoko, tak że widziałam w nim tylko górną połowę mojej twarzy. W niczym mi to nie przeszkadzało, bo nie potrzebowałam „wyglądać" i chyba w ogóle nie odnotowałam tego faktu aż do momentu, kiedy przyszedł czas na opuszczenie tej mojej pustelni. Autobusem z Nowego Sącza pojechałam do Krakowa i tam, we wspaniałej, nowoczesnej, dworcowej toalecie nagle zobaczyłam siebie ze wszystkich stron jednocześnie, w bezlitosnym sztucznym świetle, odbitą w licznych lustrach. Był to istny szok. Miałam ochotę uciec – od tego świata, od własnej widzialności, z powrotem do świata łagodniejszych konturów, do niezliczonych odcieni brązu, szarości i błękitu – do lasu. (...)"

JULIA FIEDORCZUK – „WIELKIE PYTANIE", ZNAK MIESIĘCZNIK, CZERWIEC (06) 2020.

Kadencja czasami bywa trudna

Klaudia Kulak

Ledwie wybrzmiały argumenty za i przeciw referendum w sprawie odwołania prezydenta Nowego Sącza zgłaszane przy okazji dwukrotnego nieudzielenia Ludomirowi Handzlowi absolutorium, a już pojawił się na tapecie dylemat bliźniaczy. Czy warto i czy w ogóle możliwe jest odwołanie Rady Miasta?

Nieformalny komitet referendalny liczący około dwudziestu osób, chce się zarejestrować, a następnie zgłosić do komisarza wyborczego zamiar organizacji referendum. Jeżeli w ciągu sześćdziesięciu dni zebrana zostanie odpowiednia ilość podpisów, zapadnie decyzja czy referendum rzeczywiście się odbędzie.

Wszystko zaczęło się od sesji Rady Miasta, podczas której nie udzielono wotum zaufania ani absolutorium prezydentowi. W odpowiedzi grupa zwolenników prezydenta Handzla postanowiła odwołać Radę Miasta. Ich zdaniem rada jedynie podkłada rządzącej ekipie kłody pod nogi i utrudnia pracę.

– Jesteśmy grupą mieszkańców, która ma dość ciągłych awantur i krytyki wobec prezydenta miasta. Czas pokazać, że liczy się wspólne dobro bez względu na przynależność do partii politycznej. Sesje Rady Miasta nie wnoszą nic dla mieszkańców. Mamy już dość politykowania. Czas zająć się miastem. Chodzi o to, żeby mieszkańcom żyło się lepiej, a obrady radnych były rzeczowe i merytoryczne. Sporo w mieście zmieniło się na lepsze i miejmy nadzieję, że w dalszym ciągu tak będzie. Chcemy więc, aby mieszkańcy wypowiedzieli się czy chcą mieć radnych, którzy zajmują się rozgrywkami politycznymi czy takich, którzy pracują na rzecz mieszkańców. Nowy Sącz jest dla mieszkańców, a nie polityków – mówił podczas spotkania na nowosądeckim rynku Robert Hoffman, jeden z inicjatorów referendum.

Inicjatywa odwołania rady miała swój zarodek w sieci. Na jednym z portali społecznościowych powstał profil pn.: „Stop polityce w Radzie Miasta Nowego Sącza" i to właśnie tam zaczęli gromadzić się zwolennicy organizacji referendum. W ten sposób wyłoniła się grupa osób, które zadeklarowały, że chcą być w komitecie. Kilka dni temu na nowosądeckim rynku odbyło się spontaniczne spotkanie zwolenników referendum, na którym pojawiło się około pięćdziesięciu osób.

Wszyscy zgodnie podkreślali, że chcą referendum, aby w ten sposób przeciwstawić się niekończącemu się konfliktowi radnych na tle partyjnym, który jedynie szkodzi miastu.

Jak podkreśla Maciej Goliński, jeden z organizatorów inicjatywy referendalnej, mieszkańcy mają żal do radnych, że nie udzielili wotum zaufania prezydentowi Ludomirowi Handzlowi w ubiegłym roku, kiedy to oceniano go na podstawie niepełnych dwóch miesięcy pracy. Absolutorium dla prezydenta nie było również w tym roku, kiedy to – jego zdaniem – nie było ku takiej decyzji podstaw.

– Chcielibyśmy, aby w końcu zaczęto dyskutować o rzeczach ważnych, tymczasem jesteśmy świadkami wielogodzinnych debat o sprawach nieistotnych. To przestało być śmieszne. Chodzi o to, żeby prezydent mógł wykonywać swoją pracę bez blokowania na każdym kroku. Rozumiem sprzeciw, ale żeby był on uzasadniony. Zdajemy też sobie sprawę, że odwołanie rady to odwołanie wszystkich jej członków, również tych sprzyjających prezydentowi. Wierzę jednak, że nowe wybory dałyby szansę wszystkim, aby potwierdzić swoją opinię na temat obecnego składu rady – mówił w rozmowie z „Dobrym Tygodnikiem Sądeckiem" Maciej Goliński.

Z kolei radny Grzegorz Fecko (KO) podpowiada, że istnieje znacznie tańsza metoda wprowadzenia zmian w Radzie Miasta niż kosztowne referendum, za które zapłacić będzie musiał samorząd. Jego zdaniem pozyskanie choćby jednej osoby z opozycji, która przeważy szalę głosowań w radzie, byłoby skutecznym sposobem na poprawę jakości pracy rajców.

– Kiedy wybory wygrał prezydent Ludomir Handzel, miasto zaczęło się zmieniać. To widać gołym okiem. Z drugiej strony widać bardzo aktywną przewodniczącą Iwonę Mularczyk, która na każdym kroku atakuje prezydenta. Fakt, że Ludomir Handzel informuje mieszkańców o tym co robi nazywa „lansowaniem". To jest po prostu śmieszne – mówiła podczas spotkania na sądeckim rynku Beata Majewska, współinicjatorka przedsięwzięcia.

Innego zdania w sprawie referendum jest Krzysztof Głuc, radny klubu PiS – Wybieram Nowy Sącz. Jego zdaniem przygotowanie referendum oznaczałoby jedynie wiele miesięcy utarczek i przekomarzania się radnych, w sytuacji, kiedy w mieście jest wiele rzeczy do zrobienia. Jak podkreślił Głuc głęboko wierzy on, że porozumienie w Radzie Miasta jest możliwe i że będzie realizowane.

– Organizowanie referendum to prawo przysługujące wszystkim obywatelom więc zawsze można się czegoś takiego spodziewać. Nie widzę w tym większego sensu, ale to decyzja obywateli, z którą należy się zgodzić, podobnie jak z decyzją, którą ono przyniesie. Takie są reguły demokracji. Nie uważam tego za sensowne, bo to był wybór na pięcioletnią kadencję, która czasem bywa trudna – komentuje inicjatywę referendalną Krzysztof Głuc.

REKLAMA

dts24.pl
Wejdź na: www.dts24.pl
Twój portal codziennych wiadomości

Finansowanie Hyundai
dopasowane do Ciebie.
Wikar Nowy Sącz, ul. Węgierska 168
tel. 18 414 0 413, e-mail: hyunai@wikar.pl

KONA
KONA Hybrid
KONA Electric
KONA w leasingu od
382 zł/mc netto*
* Szczegóły w salonie Wikar i na www.wikar.hyundai.pl
HYUNDAI

Zmień fryzurę, by pomóc innym

Jedni mają włosy blond, inni czarne, brązowe, rude, czy siwe. Niektórzy farbują czuprynę na niebiesko, różowo, zielono. Dla części włosy są niczym skarb, zapuszczane przez lata i pielęgnowane. Inni zmieniają fryzurę co miesiąc. Prostujemy swoje kosmyki, a innym razem traktujemy lokówką, stawiamy na żelu, a niekiedy golimy głowy na łyso. Jednak nie każdy ma wybór. Są osoby, które z powodu leczenia tracą włosy z dnia na dzień. Do trudów zmagania się ze śmiertelną chorobą dołącza nagła zmiana wyglądu, co często jest kolejnym ciosem. Jak możemy pomóc takim osobom?

Na początku marca, nim z powodu epidemii i związanych z nią obostrzeń zmuszeni byliśmy do pozostania w domach, towarzyszyliśmy 13-letniej Wiktorii w ważnym dla niej momencie. Postanowiła obciąć swoje długie, gęste włosy, które zapuszczała właściwie całe życie. Jednak w decyzji tej nie chodziło tylko o zmianę fryzury, ale i bezinteresowną pomoc.

– Moje włosy odrosną, a niektórzy mogą ich nie mieć wcale. Chciałam oddać swoje włosy osobom, które ich potrzebują – tłumaczy Wiktoria.

Nastolatka zdecydowała się przekazać swoje włosy fundacji ,,Rak'n'Roll", która zapewnia peruki tym, którzy w wyniku choroby stracili włosy, a nie mogą sobie pozwolić na drogą, dobrze wykonaną perukę. Naturalne peruki refundowane są przez NFZ zaledwie do 250 zł, gdy ich ceny sięgają nawet kilku tysięcy złotych. W akcji ,,Daj włos" fundację wspiera wiele salonów fryzjerskich w całej Polsce. Na liście partnerów jest także jeden punkt w Nowym Sączu – Galeria Urody Axena i tam w marcu udaliśmy się razem z Wiktorią.

Zaznaczyć trzeba, że zasady obowiązujące teraz, różnią się od tych, które były w marcu. Wtedy ścięcie włosów dla fundacji było darmowe, a kosmyki mogliśmy wysłać sami lub powierzyć to zadanie salonowi fryzjerskiemu. Niestety zdarzały się osoby, które korzystały z tych opcji nie tak jak trzeba. Przychodziły na darmowe ścięcie i twierdziły, że włosy wyślą samodzielnie, tymczasem kosmyki zamiast trafić do fundacji, były sprzedawane. Teraz za ścięcie jest już pobierana opłata.

Gdy Wiktoria dotarła do salonu fryzjerskiego, widać było, że nieco się stresuje – miała to być pierwsza tak drastyczna zmiana fryzury w jej życiu. Aby obcięte włosy mogły służyć komuś innemu, muszą mieć co najmniej 25 cm. Ona ostatecznie oddała aż 40 centymetrów.

– Włosy muszą być umyte, ale bez nakładania odżywki. Powinny być naturalne, niefarbowane, chyba, że na ciemne kolory, ale nie mogą być rozjaśniane – tłumaczyła fryzjerka Kasia, która zajmowała się fryzurą Wiktorii.

Mogliśmy obserwować, jak odmierza włosy 13-latki, spina w kilka kucyków i następnie ścina za pomocą maszynki. Wiktoria wyglądała na coraz bardziej szczęśliwą i dumną z siebie.

Później obcięte kosmyki miały zostać dla zabezpieczenia zaplecione w warkocze, ale tak, aby osoby pracujące nad peruką miały pewność, gdzie jest nasada włosa, a gdzie jego końcówka.

Pani Kasia pokazała nam całe pudełko włosów, które wtedy były przygotowane do wysyłki. Jak zdradzała, salon nie raz zajmował się kilkoma ,,obcięciami na fundację" tygodniowo. Pojawiały się zarówno osoby dorosłe, jak i dzieci – sporo dziewczynek obcinało i oddawało włosy po uroczystości pierwszej komunii św.

Patrycja Hebda, właścicielka Galerii Urody Axena przyznaje, że akcja cieszy cię dużym zainteresowaniem. – Z fundacją zaczęliśmy współpracować w 2017 r. – wspomina. Sama zaproponowała wtedy dołączenie do akcji ,,Daj włos", choć nie była jeszcze właścicielką salonu, a jego pracownicą. – Myślę, że mamy taki świat, iż powinniśmy pomagać innym – stwierdza pani Patrycja.

Na oddanie włosów decyduje się coraz więcej osób. Nie trzeba daleko szukać – w listopadzie ubiegłego roku nasza dziennikarka Natalia Nikiel dołączyła do akcji ,,Włosem w Raka", organizowanej przez Politechnikę Krakowską we współpracy ze stowarzyszeniem ,,NIEboRAKOWI". Jednego dnia 63 osoby oddały włosy na rzecz dzieci z chorobą nowotworową i po chemioterapii.

– Od kilku lat specjalnie zapuszczałam i pielęgnowałam włosy, żeby wziąć udział w tej akcji. Choć drastyczna zmiana fryzury może być dla niejednej osoby trudna, to włosy przecież odrosną, a w ten sposób możemy bardzo łatwo komuś pomóc i dać mu siłę do walki z chorobą – podsumowuje Natalia, która oddała 35 cm włosów.

(KNB)

REKLAMA

Marianowi Izworskiemu

i Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

TATY

Śp. Józefa Izworskiego

składają

Zarząd i pracownicy firmy FAKRO

dts24

Wydawca: Wydawnictwo DOBRE
Sp. z o.o. 33–300 Nowy Sącz,
ul. Żywiecka 25.
ISSN 2082–209X.
www.wydawnictwodobre.pl

Redakcja: „Dobry Tygodnik Sądecki",
www.dts24.pl,
tel.18 544 64 41,
redakcja@dts24.pl

Redaktor naczelny Wydawnictwa Dobre:
Wojciech Molendowicz,
w.molendowicz@dts24.pl

Z-ca redaktora naczelnego ds. tygodnika DTS:
Jolanta Bugajska,
j.bugajska@dts24.pl

Redaguje Zespół:
Jerzy Cebula,
Monika Chrobak,
Katarzyna Gajdosz-Krzak,
Dariusz Grzyb
Iwona Kamieńska,
Klaudia Kulak,
Agnieszka Małecka,
Kinga Nikiel-Bielak,
Natalia Nikiel,
Krystyna Pasek,
Ireneusz Pawlik,
Natalia Sekuła

Redaktor senior:
Jerzy Wideł

Dyrektor Biura Reklam i Ogłoszeń:
Katarzyna Magiera,
k.magiera@dts24.pl,
tel. 530 032 633

Biuro Reklam i Ogłoszeń:
Bożena Baran,
b.baran@dts24.pl
Aneta Buczek,
a.buczek@dts24.pl,
tel. 570 689 311
Beata Ziemba,
b.ziemba@dts24.pl,
tel. 889 020 766

Dyrektor ds. kolportażu:
Mateusz Węglowski-Król,
tel. 665 270 230

Grafika i łamanie:
Piotr Płachta,
tel. 602 522 291

Druk:
Polska Press Grupa
Oddział Poligrafia Drukarnia Sosnowiec.

TA NATURALNA METODA CHUDNIĘCIA ROBI FURORĘ NA ŚWIECIE!

Przełomowe odkrycie Amerykanina

PREPARAT Z INDYJSKIEJ ROŚLINY LECZNICZEJ

POZWALA ZDROWO ZRZUCIĆ NAWET 26 KG MIESIĘCZNIE!

Preparat prof. Edwarda Persona raz na zawsze rozwiąże twoje problemy z **nadwagą**. Jak? Szybko i naturalnie dzięki nieznanej przedtem formule, za sprawą której już **276 tys.osób na całym świecie pozbyło się zbędnych kilogramów bez ćwiczeń i morderczych diet.**

Prof. Edward Pearson (46 l.) naukowiec z Uniwersytetu Missouri, w wieku 46 lat dowiedział się o grożącej mu cukrzycy. "– Byłem „puszysty", ale czułem się dobrze. Dopiero fatalne wyniki badań uświadomiły mi, że muszę coś zmienić – opowiada. Prof. Pearson postawił na walkę z nadwagą poprzez specjalne suplementy diety, tzw. spalacze tłuszczu.

– Dużo pracowałem, nie miałem czasu na siłownię, czy gotowanie „fit" posiłków – dodawał. Prof. Pearson próbował wszystkiego: chemicznych tabletek, plastrów, pasów na odchudzanie. Nic nie pomagało, waga stała w miejscu. Wtedy wpadł na pomysł stworzenia własnego preparatu.

– Kilka miesięcy wcześniej uczestniczyłem w sympozjum naukowym w Indiach dotyczącym nowoczesnych metod odchudzania. Trafiłem na wykład o specjalnej odmianie pewnego drzewa, moringi olejodajnej, która rośnie wyłącznie u podnóży gór w stanie Uttarakhand. Indyjscy uczeni potwierdzili, że stosowanie wyciągu z liści tej rośliny wprowadza organizm w stan wytężonego czerpania energii z tłuszczu, czyli po prostu jego spalania. Stwierdziłem, że muszę pójść w tę stronę."

8 kilogramów mniej w 7 dni? To możliwe!

Po kilku miesiącach wytężonej pracy **prof. Pearson** uzyskał bardzo silny koncentrat z liści moringi – **11-krotnie silniejszy** niż ten uzyskany przez naukowców z Indii. Preparat trafił do fazy testów w niezależnym ośrodku badawczym Oxford Metabolic Center w Wielkiej Brytanii. W badaniach udział wzięły osoby w wieku 26-75 lat, które stosowały nową metodę przez 4 tygodnie. Uczestnicy badań nie mogli zmieniać swoich diet oraz ćwiczyć. Efekty testów przeszły najśmielsze oczekiwania zespołu prof. Pearsona. **Okazuje się, że aż 93,1% badanych osób zrzuciło do 8kg po 7 dniach. Po 30 dniach średnia wynosiła aż 21,7 kg, ale u niektórych zanotowano spadek wagi na poziomie nawet 26 kg.** Oprócz tego osoby biorące udział w testach zwracały uwagę na przypływ energii, poprawę jakości snu, stanu skóry i włosów, zmniejszenie dolegliwości bólowych w stawach. **Nie zaobserwowały skutków ubocznych, a wyniki ich badań krwi i moczu były lepsze niż przed testami.**

Natura sposobem na szczupłą sylwetkę

Zagadka tych znakomitych rezultatów kryje się w zastosowaniu bardzo silnego wyciągu z **liści moringi**, przygotowanego przez **prof. Pearsona** – to koncentrat o mocy aż 55%. **Moringa** jest bogata m.in. w witaminy A, C i E, potas, żelazo, mangan, chrom, bor, wapń, cynk czy miedź. Zawiera 26 substancji hamujących procesy zapalne, 46 antyoksydantów, posiada świetny stosunek kwasów tłuszczowych Omega-3 i Omega-6. Już od dawna roślina ta była używana w leczeniu wielu schorzeń, m.in. cukrzycy, bo przyspiesza metabolizm glukozy nawet siedmiokrotnie. – ***Ponadto wyniki wzmacnia wyjątkowe, niestosowane wcześniej połączenie wyciągu z moringi z ekstraktem z agrestu indyjskiego i nasion guarany – mówi prof. Pearson.***

Rozmowa z Prof. E. Pearsonem twórcą przełomowego suplementu na odchudzanie:

Stworzył pan preparat z moringi z myślą przede wszystkim o sobie. Udało się panu osiągnąć zamierzony efekt?

Oczywiście! Gdy tylko moja formuła pomyślnie przeszła badania kliniczne, przeprowadziłem kurację na sobie. **W zaledwie 14 dni moja waga zmalała ze 110 do 95 kg. Po miesiącu było to już tylko 86 kg i taką wagę utrzymuję do dziś.** Pozbyłem się tłuszczu i zagrożenia cukrzycą, znów zacząłem biegać.

Dla kogo jest pana formuła?

Dla każdej osoby z nadwagą. **Niezależnie od tego ile masz lat, czy chcesz zrzucić 10 kg czy 50 kg – mój preparat pomoże ci uzyskać naturalną sprawność i zdrową sylwetkę.** Nie trzeba ćwiczyć, można jeść co się chce – substancje aktywne zawarte w morindze stymulują organizm do samoistnego pobierania energii z tłuszczu.

Pański preparat nie jest dostępny w aptekach czy marketach. Dlaczego?

Z powodu obniżenia kosztów. Nie sprzedajemy go koncernom farmaceutycznym czy hurtowniom. W każdym kraju wiążemy się umową wyłącznie z jednym dystrybutorem, który posiada swój magazyn centralny i stamtąd prowadzi wysyłkę. **Pomijając rozwożenie produktu do tysięcy aptek i sklepów oszczędzamy bardzo dużo pieniędzy, dzięki czemu utrzymujemy bardzo atrakcyjną cenę.**

Po trzeciej ciąży przytyłam do 80 kg. Pewnego dnia zauważyłam jak mąż odwraca wzrok, gdy się przebieram... Wtedy przejrzałam na oczy, przed pierwszą ciążą ważyłam zaledwie 52 kg! Przyjaciółka poleciła mi preparat prof. Pearsona. Byłam nieufna, bo przecież takich „cudownych" środków są setki. Cena była jednak atrakcyjna, więc postanowiłam spróbować. To była świetna decyzja! Po 20 dniach moja waga spadła do 68kg, a po 35 dniach było to już zaledwie 55kg. Po 8 tygodniach wróciłam do wagi sprzed pierwszej ciąży – schudłam w sumie 28 kg! Czuję się cudownie, a mąż znów patrzy na mnie tym samym wzrokiem, jak wtedy, gdy się poznaliśmy!

Jadwiga R., 43 lata
Lębork

Wystarczy 30 dni, by zrzucić zbędne kilogramy

Zapomnij o nieskutecznych, drogich suplementach, morderczych treningach i jedzeniu „zieleniny" bez smaku. Dzięki życiodajnym liściom **moringi olejodajnej** już po miesiącu pozbędziesz się fałd na brzuchu, podwójnego podbródka, wiszącego tłuszczu na udach i rękach.

Zamów już teraz, aby znaleźć się w gronie pierwszych 150 osób, które na **odchudzający preparat prof. Pearsona** uzyskają aż **73% zniżki**. Promocja przewidziana jest wyłącznie do 6 sierpnia 2020 r. Decyduje kolejność zgłoszeń.

ZADZWOŃ: 81 300 37 93
(PRZESYŁKA GRATIS!)

Od poniedziałku do niedzieli: 8:00 - 20:00
(Zwykłe połączenie lokalne bez dodatkowych opłat)

Z redakcyjnego kalendarium

Choć tegoroczne kalendarze „Dobrego Tygodnika Sądeckiego” skończyły się już kilka miesięcy temu, zdarza się, że jeszcze latem Czytelnicy pytają jak można je zdobyć. Odpowiedź jest prosta, ale jednocześnie mało satysfakcjonująca dla zainteresowanych – nakład wyczerpał się w całości.

Można oczywiście przeczytać codzienną kartkę z kalendarza na portalu dts24.pl, ale pewnie zainteresowani woleliby powiesić nasz stylowy zrywak na widocznym miejscu w domu. Przykro nam, nie przewidzieliśmy, że historyczno-ciekawostkowy gadżet wydany z okazji naszych 10. urodzin, tak się Państwu spodoba. Aby choć trochę pocieszyć tych, którzy spóźnili się za zakupem „Sądeckiego kalendarza 2020” dzisiaj publikujemy kartki z kalendarza przypisane do aktualnego wydania DTS.

19 lipca

FOT. MAREK LORCZYK

2002 – grotołazi Sądeckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego Beskid rozpoczęli akcję zakończoną jednym z największych odkryć w historii polskich poszukiwań jaskiniowych. W pozornie dobrze znanej Jaskini Małej w Masywie Czerwonych Wierchów natrafili na olbrzymich rozmiarów podziemną komorę, mogącą pomieścić budowlą wielkości np. kościoła Mariackiego.

22 lipca

FOT. ARCHIWUM MUZEUM OKRĘGOWEGO W NOWYM SĄCZU

1937 – w Nowym Sączu oddano do użytku Dom Bronisława Pierackiego, na pamiątkę zamordowanego ministra spraw wewnętrznych. W uroczystości wziął udział ówczesny premier Felicjan Sławoj-Składkowski. Po wojnie przemianowany na Dom Kultury Kolejarza, a dzisiaj Miejski Ośrodek Kultury. Minister Pieracki – tutaj na zdjęciu z 24 lipca 1933 r. podczas wizyty w Nowym Sączu z okazji święta policji – miał organizowane cztery pogrzeby.

23 lipca

1892 – w 600. rocznicę śmierci bł. Kingi uroczyście przeniesiono kości księżnej do srebrnego relikwiarza-trumienki, ufundowanego przez hrabiego Edwarda Stadnickiego.

25 lipca

FOT. ZE ZBIORÓW TOMASZA KOSECKIEGO

2005 – Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego zmieniły nazwę na Newag. ZNTK powstały – jako Warsztaty Kolejowe – w 1876 r. Co ciekawe dzisiejszy producent nowoczesnego taboru kolejowego produkował kiedyś m.in. szybowce. Pierwszy egzemplarz Komara Bis powstał 8 kwietnia 1932 r., ostatni kilka dni przed wybuchem II wojny światowej, 25 sierpnia 1939 r.

26 lipca

1889 – to początek wizyty Stanisława Wyspiańskiego w Nowym Sączu. Podczas kilkudniowego pobytu grupy studentów krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, wśród których był Wyspiański, powstały rysunki klasztoru franciszkanów, kościoła św. Małgorzaty, kościoła jezuitów, zamku, synagogi oraz sądeckich domów.

27 lipca

1996 – w Nowosądeckiej Małej Galerii gościł Czesław Miłosz. Podczas spotkania autorskiego laureat literackiej Nagrody Nobla m.in. czytał swoje wiersze i odpowiadał na pytania publiczności. Ogromne zainteresowanie wizytą sprawiło, że część publiczności musiała oglądać spotkanie przez okna galerii.

28 lipca

1488 – rozpoczęto w Nowym Sączu pisanie nowych ksiąg miejskich. Poprzednie doszczętnie spłonęły w wielkim pożarze miasta w 1486 r., który zniszczył m.in. ratusz. Przetrwały wówczas jedynie dokumenty przywilejów królewskich przechowywane w ogniotrwałym skarbcu.

29 lipca

1948 – prawdopodobnie tego dnia wyjechał na ulice Nowego Sącza pierwszy pojazd komunikacji miejskiej. Nie możemy powiedzieć o nim autobus, ponieważ, był to samochód

REKLAMA

ciężarowy z wojskowego demobilu Ford V8 ze śladami po pociskach, dostosowany do przewozu ludzi, wymalowany białą i niebieską farbą, z drewnianymi ławkami wewnątrz. Linia 0, jaką obsługiwał, prowadziła pętlą z dworca PKP przez Rynek, Jagiellońską i Lwowską. Miejską Komunikację Samochodową założono kilka dni wcześniej 17 lipca.

30 lipca

FOT. ARCHIWUM MUZEUM OKRĘGOWEGO W NOWYM SĄCZU

1903 – pomiędzy Nowym Sączem a Chełmcem wykoleił się pociąg osobowy. W wyniku zdarzenia rannych zostało 16 osób, a szkody materialne ówczesna prasa określiła jako ogromne. Do zabezpieczenia miejsca zdarzenia skierowano wojsko. Na tej samej trasie w Marcinkowicach w 1960 r. doszło do największej katastrofy kolejowej na Sądecczyźnie. Zginęło wówczas 10 osób, a kilkadziesiąt zostało rannych.

31 lipca

2003 – na ulicach Nowego Sącza pojawił się pierwszy przenośny fotoradar, ustawiany przez policję w miejscach, gdzie kierowcy nagminnie naruszali ograniczenie prędkości.

1 sierpnia

1889 – decyzją Rady Miejskiej Nowego Sącza założony został cmentarz komunalny przy dzisiejszej ul. Rejtana. Pierwszą zmarłą pochowaną na tym cmentarzu była 12-letnia dziewczynka.

2 sierpnia

1954 – w Nowym Sączu urodziła się Krystyna Czubówna, popularna dziennikarka telewizyjna, laureatka Wiktorów. W przeszłości prezenterka telewizyjnej „Panoramy" i lektorka filmów przyrodniczych.

3 sierpnia

2013 – Katarzyna Zielińska, aktorka rodem ze Starego Sącza, poślubiła swojego przedszkolnego kolegę Wojciecha Domańskiego. Dzisiaj mają dwóch synów: Henryka i Aleksandra. Zielińska debiutowała na deskach Miejskiego Ośrodka Kultury w Nowym Sączu. Ogólnopolską sławę przyniosła jej rola Marty Walawskiej w serialu TVP2 „Barwy szczęścia".

4 sierpnia

1891 – biskup Ignacy Łobos uznał nowosądecki obraz Matki Bożej Pocieszenia za łaskami słynący. 80 lat później obraz przeniesiono do głównego ołtarza kościoła pw. Ducha Świętego, a uroczystości przewodniczył kardynał Karol Wojtyła.

5 sierpnia

1944 – nocą pomiędzy Wojnarową a Niecwią zestrzelony został samolot JP-162 S ze 148 Dywizjonu RAF, wracający z akcji zrzutu zaopatrzenia dla AK. Zginęło trzech brytyjskich pilotów. Czterech ocalonych do końca wojny ukrywała miejscowa ludność.

6 sierpnia

2017 – w Białymstoku o godz. 15:55 Aleksandyr Kolew strzelił pierwszą bramkę dla Sandecji na najwyższym szczeblu piłkarskich rozgrywek. Miało to miejsce w Białymstoku w meczu Jagiellonia – Sandecja. Jednocześnie mecz ten był pierwszym zwycięstwem biało-czarnych w Ekstraklasie.

7 sierpnia

FOT. ARCHIWUM MUZEUM OKRĘGOWEGO W NOWYM SĄCZU

1662 – przez Nowy Sącz przetoczyła się kulminacyjna fala wielkiej powodzi. Woda Kamienicy była tak wezbrana, że zniknął z powierzchni ziemi m.in. młyn wodny w rejonie zamku. To pierwsza wzmianka o tak dużej sile niszczycielskiej wody w naszym regionie. Najczęściej wezbrania wód występowały w lipcu, a w samym tylko XX wieku przez Nowy Sącz przetoczyło się kilka „powodzi stulecia". W tym chyba ta najbardziej pamiętna – na zdjęciu dzielnica Wólki – z 1934 r.

8 sierpnia

FOT. ARCHIWUM MUZEUM OKRĘGOWEGO W NOWYM SĄCZU

(1933) „Zielony Sztandar" poinformował, że w powiecie nowosądeckim istnieją 142 koła Stronnictwa Ludowego, do których należy ponad 26 tysięcy osób. Święto ludowe w Nowym Sączu zgromadziło wówczas 40 tys. uczestników. Kto poznaje obecną ul. Piotra Skargi?
Fot. Archiwum Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu

9 sierpnia

1652 – w Nowym Sączu początek kolejnej zarazy. Rajcowie uchwalili „odroczenie wszystkich spraw [...] aż po Trzech Królach 1653 r., albo też na inny czas, kiedy obecna zaraza z łaski Boga ustąpi; z wyjątkiem jednak świeżych spraw kryminalnych, które podług prawa zwłoki nie cierpią i doraźnie rozstrzygane być muszą". Podczas tego ataku epidemii zmarło 1,5 tys. mieszkańców miasta.

10 sierpnia

2001 – blisko 10 tysięcy osób obejrzało na sądeckim Rynku koncert „Przyjaciele Dwójki dla powodzian". Sponsorzy imprezy zostawili na Sądecczyźnie 240 tys. zł. Pomysłodawczynią koncertu była wywodząca się z Nowego Sącza piosenkarka Majka Jeżowska, a na scenie wystąpili m.in.: Ryszard Rynkowski, Mieczysław Szcześniak, Zbigniew Wodecki i Jose Torres.

11 sierpnia

1929 – urodził się w Tęgoborzy Stanisław Lelito, od 1953 r. właściciel legendarnej lodziarni „Orawianka" przy ul. Sobieskiego. Z wykształcenia krawiec, wieloletni chorąży sztandaru Cechu Rzemiosł Różnych w Nowym Sączu. Zmarł 12 maja 2014 r.

REKLAMA

Galeria Trzy Korony

Sięgaj po więcej!

Trzy Korony

E.Leclerc HELIOS RTV EURO AGD H&M RESERVED CROPP house MANGO

sinsay NEW YORKER Bershka stradivarius CALZEDONIA martes 4F PEPCO

CCC SHOES & BAGS DEICHMANN empik ROSSMANN SUPER-PHARM hebe zdrowie i piękno DOUGLAS KFC

Znalazłam się w nie mojej bajce

Ciągle widnieję w składzie rady? No proszę. Choć to tylko drobiazg, mała kropla, to jednak duża ilość małych kropel może sprawić, że miarka się przelewa...

Rozmowa z ELWIRĄ MYŚLIWY, byłą radną Rady Gminy Uście Gorlickie.

– Wiosną złożyła Pani mandat radnej. To rzadki ruch w dzisiejszych samorządach. Radni mocno trzymają się funkcji.

– Być może rzadki, ale w moim przypadku przemyślany. Zrezygnowałam z kilku powodów. Przede wszystkim czułam się rozczarowana sprawowaniem tej funkcji. Decydując się na start w wyborach wyobrażałam sobie, że dzięki mandatowi będę kimś w rodzaju łącznika pomiędzy mieszkańcami a urzędem i wójtem. Dzięki temu miałam nadzieję na bycie kimś, kto ma realny wpływ na to, co dzieje się w moim środowisku. Szybko okazało się, że to tak nie działa. Żyjemy w czasach, kiedy polityka podzieliła społeczeństwo, rodziny, przyjaciół, a te złe wzorce przeszły na samorządy. Dlatego komuś może się wydawać, że w gminie również mamy do czynienia z polityką. A to przecież żadna polityka.

– Na czym konkretnie się Pani potknęła, na co nie mogła mieć Pani wpływu w gminie?

– Zacznę od wyjaśnienia, dlaczego zdecydowałam się zostać radną. Stało się to za namową moich przyjaciół i znajomych, którzy aktywnie działają w branży turystycznej w gminie. Zawsze byłam mocno związana z tym środowiskiem, wszak nasza gmina ma charakter turystyczno-uzdrowiskowy. Turystyka była bliska mojemu sercu, dlatego wspólnie z grupą znajomych pomyśleliśmy, że potrzebujemy w radzie gminy kogoś, kto jeszcze mocniej wesprze takie działania. To się udało, zostałam nawet przewodniczącą Komisji Uzdrowiskowej, Sportu, Turystyki, Kultury i Promocji Gminy.

– Brzmi nieźle.

– I zaczęło się nieźle. Gmina zaangażowała się w projekt Związku Gmin Uzdrowiskowych mający na celu wzmocnienie promocji. I to było jedyne, co się udało. Potem już każdy pomysł spotykał się z oporem. Odniosłam wrażenie, że koledzy radni i część mieszkańców nie czują potrzeby wspierania tej najważniejszej przecież dla gminy branży.

– Używa Pani określenia „gmina", a to przecież nie jest anonimowy twór. Twarzą gminy jest wójt i on firmuje lokalną strategię.

– Zgoda, wójt jest liderem i menedżerem. W ostatnich wyborach zdecydowałam się poprzeć obecnego wójta Zbigniewa Ludwina i razem z nim kandydować.

– Była Pani zatem w szeregach zwycięskiej drużyny. Skąd rozczarowanie i w efekcie rezygnacja?

– Zgoda, tak było. Ale później każdy brak decyzji w istotnych dla nas sprawach był tłumaczony złą kondycją finansową gminy, balansowaniem na skraju bankructwa. Z powodów finansowych rezygnujemy z wielu działań, przez co powstaje błędne koło. Bo jeśli nie będziemy wspierać pewnych działań, to kondycja finansowa gminy będzie stabilnie kiepska i niewiele się tu będzie działo.

– Ale to jednak Pani ekipa w radzie miała być „nową miotłą", która zmieni sytuację, w stosunku do której byliście w opozycji.

– Tak to widziałam. Jednak część mieszkańców jakby nie rozumiała roli radnego, na nas przerzucając odpowiedzialność za brak działań. Tymczasem to w urzędzie powinna istnieć jednostka odpowiedzialna za rozwój turystyki i jej promocję. Kiedy więc widzisz, że realnie nic od ciebie nie będzie zależeć przez kolejne cztery lata, bo nie masz na nic wpływu, to uznajesz, że uczciwiej jest zrezygnować z mandatu, niż kontynuować fikcję.

– Chyba nie Pani jedna złożyła mandat w radzie?

– Słyszałam, że po mnie zrezygnował radny Edmund Woźniak. Ale chciałam jeszcze o czymś powiedzieć. Pewnie wiele osób pamięta serial „Przystanek Alaska". Otóż dla mnie Wysowa, gdzie mieszkam, zawsze była takim Cicely. To było miejsce, gdzie dobrze się czułam, byłam otoczona przyjaznymi ludźmi, do którego lubiłam wracać, gdzie zdecydowałam się wybudować dom i wychować dzieci. I gdziekolwiek pojechałam, zawsze byłam ambasadorką Wysowej. I oto po moim – nazwijmy to – incydencie w radzie gminy, zaczęłam inaczej postrzegać najbliższe otoczenia, a moje Cicely gdzieś zniknęło. I kiedy teraz o tym myślę, to żałuję, że zdecydowałam się kandydować do rady, bo zepsułam sobie wizerunek mojego miejsca na Ziemi.

– Duże rozczarowanie?

– Duże. Może to tylko moje wyobrażenie, ale podczas obrad komisji czy sesji spotkałam się z wrogością i pretensjami mieszkańców. Zawsze uważałam, że kiedy pojawia się problem, należy go wspólnie rozwiązywać. Tymczasem zobaczyłem po drugiej stronie złość, a u swoich sąsiadów nienawiść. Miałam wrażenie, że radni są dla nich wrogami. Kilka razy usłyszałam, że jesteśmy w radzie dla kasy i nie interesuje nas, co się dzieje w gminie. Jeśli ktoś myśli, że radnym zostaje się dla pieniędzy, to chyba nie ma żadnej orientacji, ile wynoszą diety radnych.

– A ile wynosi dieta w Uściu Gorlickim?

– Dieta za sesję to 250 zł, a czasami sesje odbywały się raz na kwartał. Jeżeli więc ktoś mówi, że zdecydowałam się uczestniczyć w życiu mojej gminy dla pieniędzy, to zwyczajnie nie wie o czym mówi.

– Jak wójt Zbigniew Ludwin przyjął Pani decyzję o rezygnacji z mandatu? W końcu startowaliście w tych wyborach połączeni jakąś wspólną ideą, jeśli to nie jest zbyt górnolotne określenie.

– Choć wójt tego głośno nie powiedział, mam wrażenie, że jednak mnie rozumie, bo wie, że nie wszystko działa w gminie dobrze.

– Na przykład strona internetowa? Według gminnej witryny jest Pani nadal radną i przewodniczącą komisji, choć od złożenia mandatu minęło kilka miesięcy.

– Ciągle widnieję w składzie rady? No proszę. Choć to tylko drobiazg, mała kropla, to jednak duża ilość małych kropel może sprawić, że miarka się przelewa... Ale żeby była jasność – myślę, że gmina Uście Gorlickie nie jest jakaś odosobniona w swoim stylu funkcjonowania. Tak się pewnie dzieje w wielu małych gminach, chociaż akurat gmina, z którą obecnie jestem związana zawodowo jest przykładem sprawnego funkcjonowania.

– A może Pani jest po prostu romantyczką marzącą o sielance w swoim Cicely na Alasce, a rzeczywistość urzędowa okazuje się nieco mniej romantyczna.

– To chyba z romantyzmem nie ma nic wspólnego. Chodzi o konkrety. Nadzór budowlany zamknął jakiś czas temu jedną z wizytówek gminy, czyli kryty basen w Wysowej. Ja oczywiście nie mogę polemizować z decyzjami nadzoru budowlanego. To jedna z nielicznych atrakcji gminy i gmina mocno straciła na zamknięciu basenu. Pewnie nie miejsce tutaj na analizę tej sytuacji, bo błędy popełniono na etapie budowy, ale jednak ktoś ten obiekt przez pięć lat dopuszczał do eksploatacji. Gdzie byli wcześniej ludzie, którzy pozwalali na użytkowanie basenu?

– Uważa Pani, że Wysowa – perła w gminie Uście Gorlickie – nie wykorzystuje swojego potencjału, nie jest odpowiednio wypromowana w Polsce?

– Powiem inaczej. Cały urok Wysowej polega na tym, że nie jest to miejsce zatłoczone i ludzie, którzy tu przyjeżdżają pewnie w dużej mierze za to ją cenią. Gdyby przyjechały tu tłumy, nie byłaby to już ta sama Wysowa. Beskid Niski jest ciągle dziki. Można wyjść na szlak nie spotkać tu nikogo przez cały dzień. Brakuje mi natomiast wsparcia gminy i zaangażowania w pielęgnowanie unikalnych walorów tego miejsca, w działania ekologiczne. Chodzi o proste rzeczy, dzięki którym to nasze miejsce staje się perełką i ludzie chcą tu wracać.

– Samorząd w Polsce przechodzi kryzys zaufania społecznego?

– Nie chcę uogólniać, bo nie czuję się do tego upoważniona, ale coś niedobrego się dzieje. Samorządy powinny być bardziej przyjazne mieszkańcom, którzy muszą mieć odwagę rozmawiać o rozwiązaniu swojego problemu. Tymczasem ludzie przychodzą głównie z pretensjami. Jeżeli w ogóle przychodzą. Dam taki smutny przykład braku rozmowy. Razem z kolegą radnym Bogdanem Ferencem dyżurowaliśmy w każdy poniedziałek w świetlicy w Wysowej. I przez rok tych dyżurów nikt do nas nie przyszedł z żadną sprawą. Ani raz. Za to na komisjach i sesjach zawsze znalazł się ktoś, kto na nas krzyczał. To daje pewien obraz, jak jest postrzegany samorząd. Po sesji, na której rozmawialiśmy m.in. o planie ograniczenia ilości szkół, na które gminy zwyczajnie nie było stać, na twarzach ludzi, z którymi dotychczas mówiłam sobie „cześć" i „dzień dobry" wyczytałam tyle złości i nienawiści, że postanowiłam opuścić radę gminy. To po prostu nie było moje miejsce. Znalazłam się w nie mojej bajce.

ROZMAWIAŁ WOJCIECH MOLENDOWICZ

ELWIRA MYŚLIWY NA NASZYM ZDJĘCIU OKŁADKOWYM

REKLAMA

Przehyba – królowa Sądecczyzny

Jerzy Wideł

Kto chociaż raz w życiu nie stanął na szczycie Przehyby Wielkiej, kto bladym świtem wraz ze wschodzącym słońcem nie zachwycił się cudowną panoramą ośnieżonych Tatr z tarasu tamtejszego schroniska turystycznego, ten nie poznał urody Beskidu Sądeckiego. Ten nie zna Sądecczyzny.

Patrząc ze schroniska na południe na Tatry Bielskie, u podnóża Przehyby ściele się zwykle nad ranem gęsta mgła spowijająca Szczawnicę i Pieniny. Patrząc zaś na północ w dali rozciąga się widok na dolinę Dunajca, Stary i Nowy Sącz. Niezapomniane widoki. Kwintesencja krajobrazów ziemi sądeckiej. Potwierdzona zresztą przez czynnik niebiański, czyli św. Jana Pawła II. Ale o tym później.

Ta magia sprawiła, że od ponad 100 lat interesowali się tymi szlakami górskimi turyści amatorzy pieszych wędrówek. Przecierali na początku XX wieku szlaki wiodące na Prehybę, bo taką nazwę nadali jej mieszkający u podnóża góry Łemkowie. Prehyba – po łemkowsku przełęcz – była dla Łemków mieszkających w Szlachtowej, Jaworkach górą wręcz symboliczną. Turyści w przeciwieństwie do Łemków, którzy tam żyli i wypasali swoją żywiznę, dojeżdżali w Beskid Sądecki zwykle pociągiem i wędrowali z Rytra, Piwnicznej-Zdroju albo Starego Sącza na szczyt Prehyby. Ta nazwa powoli zanikała w latach 70. XX wieku, bo i Łemków nie było już tutaj od 1947 r. (wysiedlono ich w ramach Akcji „Wisła") i dziś najczęściej używa się nazwy Przehyba w odniesieniu do góry, ale też i schroniska. Kiedy jednak góra była jeszcze Prehybą, działacze Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddział „Beskid" z Nowego Sącza na czele z prof. Feliksem Rapfem postanowili wybudować tam schronisko. Tak olbrzymie bowiem było zainteresowanie pieszymi wędrówkami po Beskidzie Sądeckim.

Okazałe stylowe schronisko oddano do użytku w 1938 r. Stało się miejscem pielgrzymowania szczególnie młodzieży gimnazjalnej i szkół średnich z pobliskiego Nowego Sącza. Co w czasie okupacji niemieckiej sprawiło, że to właśnie oni ze swoimi nauczycielami stanowili bazę oddziału partyzanckiego Armii Krajowej, którą dowodził przedwojenny nauczyciel, turysta, narciarz Julian Zubek „Tatar". Prehyba była ich ostoją. Za co zapłaciła zresztą wysoką cenę. W grudniu 1944 r. Niemcy spalili schronisko doszczętnie. Powojenny głód wędrowania i zatrzymania się na górze dzień-dwa sprawił, że grupa zapaleńców z PTTK w 1953 r. wybudowała (niosąc na swoich barkach) schron turystyczny tzw. „Betlejemkę". Bardzo skromnie wyposażoną, ale to już było coś. Kiedy w 1958 r. oddano do użytku duże przestronne schronisko „Betlejemkę" przeniesiono poniżej stoku i przetrwała ona jeszcze długie lata.

Pierwszym kierownikiem nowego schroniska został do 1966 r. Alfred Lastawica. Wtedy też młodzież sądeckich szkół średnich – ta turystycznie nastawiona – na kilkaset metrów przed wejściem na Przehybę śpiewała pieśń zaczynającą się od słów: „Cztery mile za Szczawnicą jest schronisko z Lastawicą".

Zaopatrzenie dostarczano do schroniska wyciągiem towarowym tzw. drewnianym korytem. Ponadto nie było sieci elektrycznej, więc wieczorami silnik spalinowy w tzw. bunkrze napędzał agregat prądotwórczy i światło paliło się do godz. 22. Wówczas wyłączono głośno pracujący silnik, by zapewnić ciszę nocną. Piękne to były czasy, wszak niektórzy w naszym I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Długosza w Nowym Sączu grupą zapaleńców i piękną jesienią co sobotę po szkole (tak, tak uczyliśmy się również w soboty) pędzili biegiem na dworzec PKP i pociągiem tzw. „robotniczym" do Rytra, by poprzez Polanę Konieczną niemal na wyścigi dostać się do schroniska. A pod szczytem i kapliczką czekał cudowny wieczór ze śpiewem na ustach przy akompaniamencie gitary oraz winem marki wini, zwanym „patykiem pisane". Ale zawsze z umiarem.

Nie wiem jak chwile wolne od wędrówki spędzał na Przehybie przy ognisku kleryk, biskup, kardynał, a później papież, święty Karol Wojtyła. Być może miał w swoim skromnym plecaku oprócz brewiarza wino mszalne? Nie miałem okazji spotkać Go na którymś ze szlaków w Paśmie Radziejowej. Ale pamiętnego 16 czerwca 1999 r. na starosądeckich Błoniach obwieścił niczym urbi et orbi całemu światu: „A teraz jeszcze powtórka z geografii. Jesteśmy tu, w Starym Sączu, skąd wyruszamy ku Dzwonkówce, Wielkiej Raczy, na Prehybę; Dzwonkówce, Wielkiej Radziejowej, na Prehybę, dochodzimy do Wielkiej Raczy. Wracamy na Prehybę i schodzimy albo zjeżdżamy na nartach, na nartach... Z Prehyby do Szlachtowej i do Krościenka. W Krościenku, na Kopiej Górce jest Centrum Oazy. W Krościenku przekraczamy Dunajec, który płynie razem z Popradem w kierunku Sącza Nowego i Starego i jesteśmy w Sączu z powrotem. A kiedy na Dunajcu jest wysoka woda, to można w pięć, sześć godzin przepłynąć od Nowego Targu do Nowego Sącza. To tyle tej powtórki z geografii".

Czy święty Jan Paweł II nie miał racji wymieniając w swojej przemowie kilkakrotnie nazwę Prehyba, podkreślając, że to miejsce cudowne. Czyż nie potwierdził królewskości Przehyby na Sądecczyźnie? Warto tam bywać, mimo, że dla mnie osobiście to już nie jest ta Przehyba, którą poznałem i smakowałem w szczenięcych latach.

REKLAMA

WIKAR
Nowy Sącz ul. Węgierska 168 - Tel: 18 414 04 20
www.nissan.wikar.pl

Zdjęcia są jedynie ilustracją. Dane i fakty podane w niniejszej reklamie służą wyłącznie celom informacyjnym i nie stanowią oferty zawarcia umowy.
W celu uzyskania bliższych informacji prosimy skontaktować się z autoryzowanym dealerem Nissana. Oferta jest ważna dla umów podpisanych zklientami w okresie od dnia 01/06/2020 do dnia 31/07/2020. Promocja dotyczy wersji Nissan Qashqai z rocznika modelowego 2019 z rocznika produkcji 2019. Zużycie paliwa w cyklu mieszanym: Qashqai 5,3 - 7,3 l/100 km, emisja CO_2 183 - 182 g/km.

40 wykwintnych dań

Wojciech Molendowicz

Przed laty ukazywała się w Polsce encyklopedia piłkarska FUJI. Dzisiaj nie ma potrzeby jej kontynuowania, bowiem o krajowej piłce nożnej wie wszystko Antoni Bugajski. Właśnie na księgarskie półki trafiła jego pierwsza książka. „Był sobie piłkarz", a w niej czterdzieści piłkarskich opowieści.

Gdyby zastosować tu bardziej przemawiający do wyobraźni język dnia powszedniego, albo poetykę ulubionej lektury ludzkości czyli książki kucharskiej, to robota Bugajskiego powinna raczej nosić tytuł – „Wielkie żarcie. 40 wykwintnych dań bez wychodzenia do knajpy z gwiazdką Michelina, w cenie kebabu na stadionie w Londynie". Skomplikowane? Ani trochę. Pewnie każdy z nas musiał się w życiu mierzyć z dramatyczną sytuacją, kiedy spór u cioci na imieninach, o to, kto strzelił decydującą bramkę w bardzo ważnym meczu, urasta do rangi pytania egzystencjalnego. I kiedy jeszcze nie było w pobliżu internetu sytuacje sporne mógł rozstrzygnąć wyłącznie telefon do przyjaciela. Albo do piłkarskiego eksperta. Najlepiej oczywiście, jeśli przyjaciel jest jednocześnie ekspertem. O Antonim Bugajskim chyba możemy tak powiedzieć. Szczęściarze z nas.

Ba, o Tośku mówimy zuchwale, że to nasz człowiek we Wrocławiu. Tam studiował i od lat mieszka, pracuje dla warszawskiego „Przeglądu Sportowego", ale przecież pochodzi z Limanowej i w ważnych dla DTS-u momentach pojawia się w naszej orbicie. Niezmiennie jesteśmy dumni z tego faktu, bo facetów, którzy o polskiej piłce nożnej wiedzą wszystko – albo prawie wszystko – można policzyć na pacach jednej ręki. Bugajski zalicza się do ścisłej czołówki w tym elitarnym gronie, ale czasami udaje się i jego zaskoczyć. Kiedy opowiada w swojej książce o Cezarym Toboliku, który zdobył gola w derbach Krakowa bezpośrednio z rzutu rożnego, możemy Antkowi odpowiedzieć nieskromnie: „siedzieliśmy całkiem niedaleko chorągiewki spod której Tobolik centrował". Ot, nieważny detal z życiorysu kibiców starej daty.

Zdumiewająca jest pasja z jaką Antoni Bugajski zanurza się w głębiny archiwów polskiej piłki nożnej i za każdym zejściem pod powierzchnię znajduje jakąś perłę. W świecie, gdzie kibica ogłupia ilość bezpośrednich relacji z wielu lig europejskich jednocześnie (multimultiliga – może tak się to nazywa), gdzie zalewa nas i podtapia ocean statystyk istotnych głównie dla analityków na klubowych etatach, Bugajski wyciąga na plan pierwszy ludzi i ich opowieści. Bezcenne. Mam nadzieję, że nie tylko dla pokolenia czytelników, którzy codziennie rano w szkolnej szatni musieli odpowiadać na twarde jak głaz pytanie: „Za kim jesteś?" Przecież nie było takich, którzy nie byli za nikim. A nawet jeśli za nikim nie byli, to deklarowali, że są za kimś. Bo jak można było nie być za nikim? Nie być za nikim to wstyd i dobrowolne wykluczenie się na margines życia klasy. I przecież zawsze tak było, że miliony chłopaków na całym świecie – nawet jeśli osobiście nie umiało porządnie kopnąć piłki – z wypiekami na twarzy śledziło losy swoich ulubionych piłkarzy i klubów. Obojętne czy działo się to w Limanowej czy w Rio de Janeiro.

Tak więc zawsze i wszędzie na całym świecie są jacyś chłopcy, którzy potem stają się mężczyznami, ale nie przeszkadza im to pielęgnować swojej pasji do emocjonowania się piłką nożną, losami ukochanej drużyny (za kim jesteś?) i bohaterów grających na wieczną chwałę tych klubów. I swoją własną też. O Ronaldo i Messim napisano już wszystko, ale o Kupcewiczu, Gorgoniu, Lipce, Komornickim, Matysiku i wielu innych pewnie jeszcze niewystarczająco dużo. Tę dziurę w ciągłości piłkarskiej historii łata cierpliwie Antek Bugajski. Operując boiskowym żargonem sprzed lat Bugajski gra na łączniku. W tym wypadku łącząc całkiem nieodległe przecież czasy ze współczesnością. I komu to potrzebne – zapyta ktoś niemądrze? Nam wszystkim. I nawet w pierwszej kolejności nie tym, którzy w ciepłych bamboszach zanurzą się z książką Bugajskiego w fotelu żeby dzięki niej uruchomić nadwyrężoną pamięć i przenieść się do teatru swojej wyobraźni. Ale może przede wszystkim tym, którzy żyją w niezmąconym świętym przekonaniu, że historia polskiej piłki nożnej zaczęła się wraz z przyjściem na świat Roberta Lewandowskiego.

I na tym w zasadzie koniec. Każdy kibic niech biegnie do księgarni i czyta „Był sobie piłkarz", my tu nie będziemy książki streszczać. Najważniejszy wniosek na koniec tej krótkiej wyprawy do jądra polskiego futbolu jest następujący: piłka nożna zawsze będzie potrzebowała swoich Bugajskich. Tak jak każda piłkarska epoka potrzebuje nowych czarodziei potrafiących z piłką cuda wyczyniać, tak sportowe dziennikarstwo potrzebuje artystów, których pisanie o tej dyscyplinie nie będzie zamykało się do najnudniejszego z możliwych zdań: „W 25 minucie oddał niebezpieczny strzał zza szesnastki, który o centymetry minął bramkę przeciwnika". Piłka nożna to gra rzemieślników i artystów. Jak to w życiu. Dziennikarstwo podobnie, składa się z rzemieślników i artystów. Antoni Bugajski – jak to artysta futbolu – potrafi bawić się piłką z wielką swobodą. Panowie piłkarze: szanujcie takich dziennikarzy, bo jeśli znikną w powodzi bylejakości, kto będzie opiewał wasze wielkie dokonania?

Listy katyńskiej odsłona trzecia

Bartosz Szarek

Po blisko 30 latach od pierwszego wydania i 11 kolejnych od pierwszego uzupełnienia, ukazuje się trzecia, poszerzona o 31 nazwisk – „Nowosądecka lista katyńska" (2020) prof. Jerzego Gizy. Summa summarum 256 osób związanych z Sądecczyzną urodzeniem, zamieszkaniem, nauką, służbą wojskową, policyjną, graniczną czy cywilną, wstępnie przetrzymywanych w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, a także w więzieniach tzw. zachodniej Ukrainy, finalnie pomordowanych przez NKWD w Katyniu, Charkowie, Twerze i Kijowie wiosną 1940 r.

Ofiarami zbrodni katyńskiej w nowosądeckim kontekście rozpoczęto zajmować się wiosną 1987 r., w momencie powstania (konspiracyjnego) Komitetu Uczczenia Pamięci Sądeczan Pomordowanych na Wschodzie, przekształconego na początku transformacji ustrojowej w Sądecką Rodzinę Katyńską. Na kanwie lokalnej biografistyki katyńskiej tamtego czasu, znajdującej swoje ujście w komunikatach prasowych publikowanych na łamach niezależnego „Tygodnika Sądeckiego", doszło do wydania pierwszej „Nowosądeckiej listy katyńskiej" (1991). Zawarto w niej 100 biogramów ludzi związanych z Sądecczyzną, zamordowanych przez NKWD wiosną 1940 r. w Katyniu, Charkowie i Twerze.

Przez następne lata gromadzono materiały, uzupełniano i aktualizowano wykaz sądeckich Katyńczyków, by koniec końców w drugim wydaniu „Nowosądeckiej listy katyńskiej" (2009), wspartym staraniem nowosądeckiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" i ówczesnego prezesa, a zarazem wicemarszałka Województwa Małopolskiego, Leszka Zegzdy, zamknąć całość w liczbie 224, a do trzech udokumentowanych wówczas miejsc mordu dołączyć Kijów.

Trzecie wydanie „Nowosądeckiej list katyńskiej" prof. Jerzego Gizy, powstałe dzięki staraniom PTH Oddział Nowy Sącz, przy wsparciu finansowym władz miasta na czele z jego prezydentem Ludomirem Handzlem, to kolejne przypomnienie i zarazem hołd złożony sądeckim bohaterom i jak zapewnia sam autor nie jest to koniec pracy badawczej, gdyż wciąż brakuje 3870 nazwisk obywateli polskich z tzw. białoruskiej listy katyńskiej.

Wydaniu książki, podobnie jak miało to miejsce w 1992 r. i 2010 r., towarzyszyć będzie ufundowanie trzeciej tablicy katyńskiej, która zostanie odsłonięta na ścianie zewnętrznej kościoła św. Kazimierza w Nowym Sączu, obok wcześniej umieszczonego dyptyku.

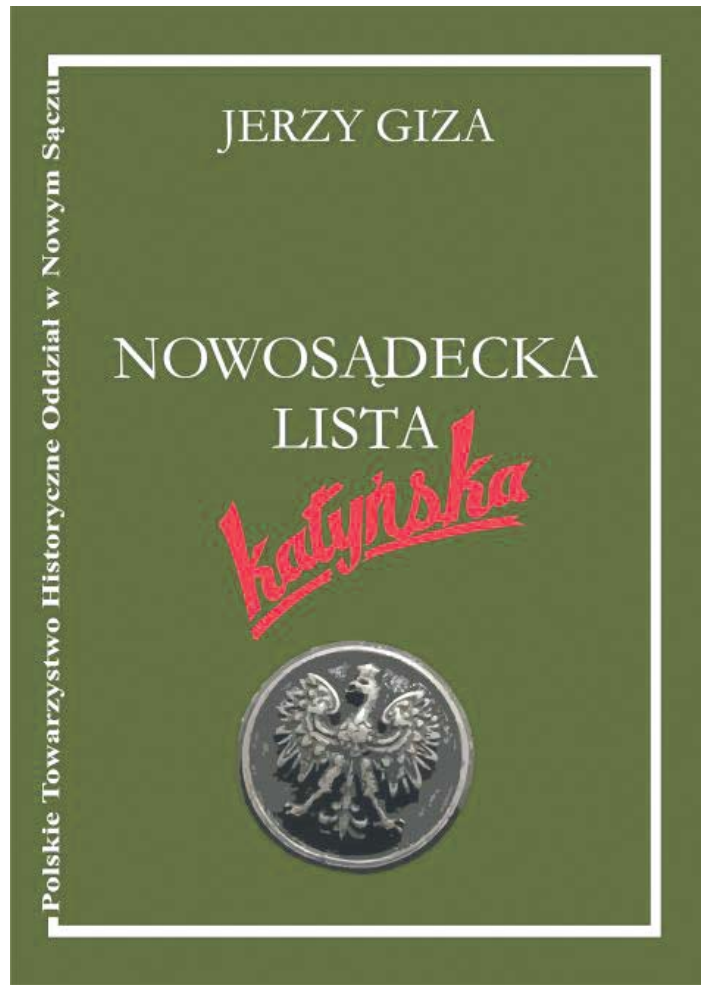

Pracownicy FAKRO zbierają kilometry

Pracownicy na rzecz potrzebujących rodzin pracowników. Tak można krótko streścić cel akcji „Kilometry nadziei z FAKRO". W ubiegłym roku, byliśmy pod wielkim wrażeniem zaangażowania pracowników firmy FAKRO, którzy wraz ze swoimi rodzinami „zbierali" kilometry na rzecz chorych dzieci koleżanek i kolegów z FAKRO. Sądecka firma nie odpuszcza, a jej pracownicy pomagają tym razem Kubie, u którego zdiagnozowano ostrą białaczkę, Jakubowi, który cierpi na mózgowe porażenie dziecięce oraz panu Wiesławowi z porażeniem obu kończyn.

Akcja rozpoczęła się 1 czerwca i potrwa do końca października. Celem jest wspólne zebranie 500 000 kilometrów. Po przekroczeniu tego wyniku, firma FAKRO przekaże 12 000 zł na leczenie najbliższych kolegów i koleżanek z pracy.

KILOMETRY NADZIEI Z FAKRO

Obecnie w akcję zaangażowało się ponad 513 uczestników oraz pokonano 315 639.

Wspierając finansowo rodziny naszych pracowników pokazujemy siłę i ogromne serca naszego zespołu. Ta akcja jest najlepszym dowodem na to, że pomagając zmieniamy świat na lepsze – komentuje Anna Korczyk, specjalista ds. PR, koordynator akcji.

Kilometrów przybywa bardzo szybko, widać, że wakacje oraz chęć spędzania czasu na świeżym powietrzu, sprzyjają podobnym aktywnościom. Akcja łączy przyjemnie z pożytecznym – z jednej strony robimy coś dla siebie, a z drugiej pomagamy innym.

Pracownicy często umawiają się po godzinach, aby razem „zbierać kilometry" – dlatego akcja ma charakter nie tylko pomocowy, chociaż to jej główne założenie. Pracownicy integrują się, spotykają na wspólne treningi, mobilizują wzajemnie do aktywności sportowej. To ogromna wartość dodana tej inicjatywy – dodaje Anna Korczyk.

Niech myśl przewodnia akcji „Kilometry nadziei z FAKRO" towarzyszy nam każdego dnia. POMAGAJĄC, ZMIENIAMY ŚWIAT NA LEPSZE.

Kustosz jeździectwa

Ireneusz Pawlik

Włodzimierz Kario to były dyrektor Stadniny Koni Huculskich w Regietowie, obecnie w Gładyszowie ma ośrodek wypoczynkowy Stara Cegielnia. To obiekt po cegielni, oczywiście zaadaptowany. Znajduje się w nim m.in. Muzeum Jeździectwa.

Przede wszystkim muzeum prezentuje kolekcję rzędów końskich. Rząd składa się z siodła i ogłowia. Kario siodła zbiera od 2006 r. i zgromadził ich ok. 70. Są wśród nich prymitywne terlice, czyli same drewniane i nie wyściełane skórą „rusztowania" huculskie. Ponadto w muzeum znajduje się zbiór huculskiej kultury materialnej, w którym oprócz terlic znajdują się takie akcesoria, jak fajka czy ciupaga tych górali wschodnich.

Szalony Koń bez siodła

Są siodła rycerskie (np. z czasów króla Chrobrego), mongolskie z arkanami do chwytania zwierząt i ludzi w jasyr, arabskie, hiszpańskie (wśród nich andaluzyjskie, używane np. w corridzie), gruzińskie, westernowe (kowbojskie), argentyńskie (używane w górach, stąd strzemiona-drewniaki dla ochrony stóp przed skałami), urugwajskie (z ochraniaczami skórzanymi, gdyż bosonodzy gauchos przemierzający pampę musieli chronić stopy przed ostrymi trawami), austro-węgierskie, niemieckie, rosyjskie, galicyjskie, juczne, damskie, sportowe. Na niektórych siodłach i ogłowiach widać inicjały dawnych właścicieli lub ich herby.

Są kulbaki, czyli lżejsze siodła wojskowe i rajdowe: polskie i radzieckie z II wojny światowej, kozackie i australijskie dla tamtejszych kowbojów, którzy wypasają owce. Są siodła i kulbaki z Ameryki Północnej, np. typu używanego przez kawalerię amerykańską, choćby w słynnej bitwie nad Little Bighorn, kiedy to 7 Pułk Kawalerii pod dowództwem pyszałkowatego gen. Custera został rozgromiony przez Siuksów na czele z wodzami Szalonym Koniem i Siedzącym Bykiem. „Długie noże", jak Indianie nazywali uzbrojonych w szable żołnierzy, przegrali zatem z galopującymi na oklep wojownikami, ale ten opracowany w połowie XIX w. model przyjął się i do dzisiaj służy np. w Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej.

Są ogłowia (np. oficerskie z pruskiego 5 Pułku Huzarów kunsztownie zdobione muszelkami), uzdy, wędzidła, czapraki (w jeździe Księstwa Warszawskiego amarantowe przysługiwały oficerom, zaś niebieskie szeregowym ułanom), ostrogi, podkowy, broń biała (bagnety, sztylety, szable, pałasze, czekany, włócznie, lance, nawet kopie husarskie, czyli najdłuższa broń drzewcowa w historii) i palna czarnoprochowa (choćby muszkiet), sprzęt żołnierski z I i II wojny światowej.

Włodzimierz Kario i jego kolekcja siodeł.

Jest kolekcja uprzęży, zaprzęgów i pojazdów konnych: bryczki, dorożka z budą typu wiktoria, niemiecki Jagdwagen, czyli pojazd myśliwski z 1895 r., sanie, na których urządza się kuligi. I ciekawostka: wojskowa maska przeciwgazowa dla… konia. Nieużywana, bo by się koń dopiero zdziwił i uśmiał…

Od najemnika do Virtuti Militari

Są wojskowe nakrycia głowy (np. czaka czy skórzano-tekturowa Die Tschapke kawalerzysty pruskiego) oraz mundury garnizonowe 1 Pułku Szwoleżerów z epoki napoleońskiej oraz międzywojennego 1 Pułku Ułanów Krechowieckiech. Włodzimierz Kario ma sentyment do tej drugiej formacji, bo służyli w niej bliźniacy, jego dziadek z bratem. W ogóle ród ma tradycje wojskowe. W 1792 r. zjawił się w Polsce protoplasta: Włoch Cario, powiedzmy otwarcie – obcy najemnik, bo przybył jako kapitan wojsk zaciężnych. Za zasługi otrzymał w Polsce indygenat, czyli szlachectwo poparte herbem Gozdawa. I od siedmiu pokoleń Kariowie są Polakami.

W jednym z korytarzy ośrodka Stara Cegielnia znajduje się galeria fotografii, na których zobrazowane są dokonania zwłaszcza urodzonych w Sankt Petersburgu bliźniaków Stanisława i Leonarda Kario. Obaj w stopniach oficerskich służyli we wspomnianym 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, którego żurawiejkę ułożył sam Melchior Wańkowicz:

Zawsze dzielni, wszędzie znani
Krechowieccy to ułani.

Dziadek Stanisław to uczestnik wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. i kampanii wrześniowej 1939 r., kawaler orderu Virtuti Militari, natomiast jego bliźniakowi Leonardowi, żołnierzowi podziemnych ZWZ/AK, więzionemu przez Niemców na Pawiaku i rozstrzelanemu w 1942 r. w Palmirach, przyznano Krzyż Walecznych.

Kurz na zbrojach

Wiele okazów w muzeum to autentyki, ale są też zrekonstruowane współcześnie repliki. Te drugie zostały stworzone nie tylko na potrzeby ekspozycji, lecz również do wykorzystania w pokazach. Bo na bazie kolekcji Kario istnieje Grupa Konnej Rekonstrukcji Historycznej. Odtwarza kawalerię od czasów rzymskich, bo rydwan też się znajdzie, poprzez scytyjską, rycerską, sarmacką, tatarską, kozacką, husarię, lisowczyków, napoleońską – aż do ułanów z 1939 r., choć tych bez entuzjazmu, bo nie tylko przegrali kampanię wrześniową, ale w ogóle II wojna światowa oznaczała schyłek konnicy.

Grupa Rekonstrukcji brała udział w ok. 40 pokazach rocznie, lecz od czasu pandemii ma zakontraktowanych aż 10 razy mniej. Dlatego w magazynach ubiorów i rekwizytów w Starej Cegielni kurz osiada na skrzydłach husarskich i zbrojach. U płatnerza w Tarnowie można się w te ostatnie wyposażyć za 12 tys. zł.

Dla uatrakcyjnienia występów Grupy Rekonstrukcji włączono pokaz sokolnictwa. W rolę sokoła łownego wciela się jastrząb Heros. Przy Grupie istnieje też sekcja łucznictwa, ale nie tej dyscypliny olimpijskiej, lecz łucznictwa konnego, którym popisywali się niegdyś Mongołowie i Tatarzy. Odbywają się nawet w tym mistrzostwa świata, Polacy odnoszą sukcesy, a w tym roku finał Mistrzostw Polski ma odbyć się właśnie w Gładyszowie!

Filmografia

Wiele eksponatów „grało" w filmach kostiumowych. Bo Włodzimierz Kario często w nich bywa konsultantem ds. koni lub jeździectwa, zapewnia konie, jeźdźców, rekwizyty. Najbardziej zasłużone konie, które dostarczał do filmów, już nie żyją. Ostatni zdechł 31 maja tego roku „Dagmar", który był rumakiem Bohuna (grał go świetny jeździec, Rosjanin Aleksandr Domogarow) w „Ogniem i mieczem" – dożył sędziwego wieku 27 lat.

Długa jest lista filmów, w których Kario wziął udział, na czele z superprodukcjami, jak „Ogniem i mieczem", „Stara baśń: kiedy słońce było bogiem", „Quo vadis" czy „Janosik". Szczególne przeżycie w filmografii Kario stanowił film Jerzego Hoffmana – „1920 Bitwa warszawska". Przecież dziadek i stryjeczny dziadek brali udział w tej wojnie. Z ok. 30 filmów, przy których „kolaborował", osobiście nie wystąpił tylko w dwóch: „Panu Tadeuszu" i serialu „Wiedźmin".

Upadków z koni zaliczył setki i jak zauważył, łatwiej się spada niż jeździ. Ale też jest zdania, jakie na temat nauki jazdy miał zakopiański instruktor narciarstwa grany w serialu „Wojna domowa" przez Bogumiła Kobielę, który ze stoickim spokojem powtarzał: – Jak sie nie wywrócis, to sie nie naucys.

Biesiady w piecu

Muzeum jest tylko częścią przedsięwzięcia turystycznego noszącego nazwę Stara Cegielnia, którym zawiaduje żona Włodzimierza Kario – Teresa. Na całość składają się gospodarstwo agroturystyczne na 40 łóżek, stajnia na 21 wierzchowców (10 huculów, 9 koni małopolskich i 2 araby) do nauki jazdy konnej i przejażdżek, w tym reko-rajdów, czyli w strojach z danej epoki. Jest boisko, świetlica i sala biesiadna zlokalizowana we wnętrzu dawnego pieca, w którym wypalano cegły. Atrakcją może być ruska bania, czyli łaźnia, z której dla ochłody może nie od razu można wyskoczyć do przerębli, ale za to prosto do pobliskiego potoku Gładyszowianka już tak.

Pandemia nie była w Starej Cegielni tylko plagą, lecz została wykorzystana pracowicie na remonty (m.in. właśnie muzeum), porządki, przeglądy, naprawy sprzętu i kostiumów. Włodzimierz Kario powiada, że właśnie z tego względu życzyłby sobie jeszcze rok takiej przerwy… Ale już ruszyło: 5 lipca rozpoczął się pierwszy turnus obozu jeździeckiego dla młodzieży. Będą one w tym roku mniej liczne niż zazwyczaj, bo – jak do niedawna w kościołach – muszą być zgodne z wyznaczonym przelicznikiem uczestników na daną powierzchnię, a wycieczki odbywać się będą w systemie bezkontaktowym, czyli np. bez zwiedzania wnętrz.

Tylko raz nie przyszedł do pracy

Pierwszy telefon zadzwonił do Filipa Ćwikowskiego jakoś kilka minut po 6 rano. Dzwonił Kacper Brzeczek, kolega Andrzeja z Łącka. Dopytywał czy Andrzej dotarł do pracy w Parku Strzeleckim. Ktoś na zdjęciu wrzuconym do sieci rozpoznał auto Andrzeja. Koledzy łudzili się, że ten wrak bez dachu, który wjechał pod ciężarówkę na obwodnicy Starego Sącza, jest tylko podobny do Hondy Andrzeja.

* * *

– Tańczyłam z Andrzejem poloneza na studniówce – zamyśla się Danuta Moszkowska Wrotniak, wychowawczyni w tegorocznej klasie maturalnej I Liceum Ogólnokształcącego w Nowym Sączu, do której chodził Andrzej. – Może to ze względu na wzrost zostaliśmy parą do tego poloneza? Jakoś na przełomie maja i czerwca, kiedy Andrzej odbierał świadectwo ukończenia szkoły, pochwalił się, że pracuje niedaleko mojego domu przy budowie nowego Parku Strzeleckiego.

* * *

– W każde wakacje pracował. W piątek kończył szkołę, w poniedziałek meldował się na budowie. Zwykle ostatni tydzień wakacji zostawiał dla siebie, a przez całe lato pracował – wspomina Filip Ćwikowski, kierownik budów w firmie Erbet. – Tamten czwartek to był pierwszy raz, kiedy nie przyszedł do pracy. Wcześniej nie miał nawet spóźnienia. Pracowity był, choć wykonywał zwykle prace pomocnicze, porządkowe, bo nie miał kwalifikacji. Rano wrzucał telefon do ferszalunku i słuchał podcastów albo jakichś wywiadów. Najczęściej o piłce nożnej oczywiście.

* * *

Większość znajomych mówi o nim zdrobniale – Andrzejek, choć miał 19 lat i czekał na wyniki matury. Tamten wypadek z 9 lipca na starosądeckiej obwodnicy pewnie zapisałby się w pamięci internautów jak dziesiątki podobnych komunikatów z policyjnych kronik: „Kierowca zginął na miejscu. 56-letnia pasażerka w ciężkim stanie trafiła do szpitala". Ale tak się nie skończyło. Tydzień później krótką notatkę z pogrzebu Andrzeja Jarka na portalu dts24, przeczytało 80 tysięcy osób. „Do zobaczenia w sektorze Niebo, żegna Cię wiślackie Łącko" – napis na szarfie niebiesko-biało-czerwonego wieńca czytały dziesiątki tysięcy kibiców nie tylko Wisły Kraków. 56-letnia pasażerka to mama Andrzeja, którą codziennie rano odwoził do pracy w sądeckiej komendzie policji, zanim sam pojechał do Parku Strzeleckiego. Do momentu kiedy oddajemy ten tekst do druku, znajdowała się w śpiączce w jednym z krakowskich szpitali.

* * *

– Codziennie przez trzy lata jeździłem z Andrzejem jednym busem do liceum do Nowego Sącza – wspomina Kacper Brzeczek. – Co ciekawe w podstawówce i gimnazjum nie przepadaliśmy za sobą. Ale jak już trafiliśmy do jednej klasy, szybko zaczęliśmy nadawać na jednych falach. To zastanawiające, bo ja nie interesuję się piłką nożną, a on mógł na ten temat godzinami mówić. Pamiętam, że kiedy Wisła miała ogromne kłopoty i groził jej upadek, Andrzej mocno to przeżywał. Nie wiedziałem, że tak można żyć sprawami klubu. Nie wypuszczał wtedy telefonu z ręki, wszystko sprawdzał. W drodze powrotnej zaszywał się w kącie busa ze słuchawkami i nasłuchiwał, co z jego ukochanym klubem.

* * *

– Mógł cały dzień grać w piłkę – wspomina kolega Marcin. – Na orliku, w juniorach Zyndrama Łącko, a jak Budowlanym Jazowsko brakowało zawodnika, to u nich też grał. Planował, że kiedyś zostanie trenerem piłkarskim, chciał studiować fizjoterapię na AWF. Kiedy miał bodaj 12 lat starsi bracia zabierali go na mecze Wisły. Był taki czas, że z Łącka na każdy mecz autobus kibiców odjeżdżał. Andrzej zawsze był w tym autobusie. Po wypadku, kiedy ukazały się informacje o śmierci Andrzeja, współwłaściciel klubu Jarosław Królewski ustawił na twitterowym profilu swoje zdjęcie z Andrzejem jako główne.

* * *

Co się stało 9 lipca ok. godz. 6 rano na starosądeckiej obwodnicy? Policyjne ustalenia mówią, że kierowca Hondy zderzył się z ciężarówką, ponieważ zjechał nagle na przeciwległy pas jezdni.

– Znałem dobrze ten samochód, wiele razy jeździliśmy nim do szkoły – mówi Kacper Brzeczek. – Andrzej kiedyś opowiadał mi, że jadąc rano przysnął za kierownicą. Wtedy poczuł, że zjeżdża, ale w porę się ocknął. Jakoś tydzień przed wypadkiem pytał mnie, czy pomogę mu coś tam wypolerować w jego samochodzie.

* * *

Nie trzeba cytować wypowiedzi znajomych Andrzeja Jarka o nim, by wiedzieć, co było jego główną cechą. Zawsze był uśmiechnięty, widać to na każdym zdjęciu. „Ciepły, sympatyczny, wieczny optymista, najbardziej słowny człowiek na świecie, chodzący spokój..."

– Miał takie powiedzenie w pracy, które zapamiętam na zawsze: „Kierownik, damy radę!" – relacjonuje Filip Ćwikowski. – Zawsze reagował pozytywnie, z czymkolwiek bym się do niego zwrócił. Równie łatwo przychodziła mu nauka. Nie musiał długo przesiadywać nad książkami, a i tak miał w szkole 5 i 6. Zresztą on wolał grać w piłkę.

REKLAMA

* * *

Kilka dni po naszej relacji z pogrzebu Andrzeja Jarka, do redakcji przyszedł mail od Janka, innego szkolnego kolegi tragicznie zmarłego:

„(...) Andrzej był jedną z niewielu osób w moim życiu, którą mogłem nazwać przyjacielem. Trudno jest uwierzyć mi w to, że pisze o nim w czasie przeszłym. Jeszcze kilka tygodni temu widzieliśmy się na maturach, rozmawialiśmy i pisaliśmy ze sobą , a teraz kilka sekund zadecydowało o tym, że oprócz zdjęć i wspomnień została mi po nim tylko pustka.

Pustka po najbardziej naturalnym człowieku, jakiego w życiu poznałem. Andrzej nigdy nie udawał kogoś, kim nie był. Nigdy nie wstydził się swojej osobowości i zawsze był w stu procentach sobą, przez co zjednywał sobie ludzi. Nie znam osoby, która by go nie polubiła. Uśmiechem, poczuciem humoru i szczerością sprawiał, że ludzie czuli się dobrze w jego towarzystwie. Cechą, którą zawsze mi imponował była jego samodzielność i zaradność. Andrzej odkąd skończył gimnazjum całe wakacje spędzał na budowie ciężko pracując, aby zarobić pieniądze na życie. Prawdopodobnie nie były to jego wymarzone wakacje, ale nigdy nie narzekał. Zawsze dzielił się ze mną śmiesznymi sytuacjami jakie działy się w pracy i wysyłał zdjęcia, na których wyglądał na człowieka szczęśliwego. Nie traktował pracy na budowie jako kary, ale naturalnym dla niego było już w tak młodym wieku, że na niezależność trzeba zapracować.

Andrzej pasjonował się sportem. Jego wiedza na temat piłki nożnej zarówno współczesnej jak i historycznej była niesamowita. Sam kochał grę w piłkę. Pamiętam, że największą tragedią dla niego był opuszczony trening. Nawet kilka dni przed maturą nie odpuszczał. Zamiast siedzieć przykutym do książek chodził na orlik grać z kolegami z drużyny. Pisząc o piłce i o Andrzeju trzeba wspomnieć o jego miłości do Wisły Kraków. Pamiętam jak na swoich 19 urodzinach miał łzy w oczach odbierając od nas koszulkę swojego ukochanego klubu, za którą nie raz nam jeszcze dziękował. Andrzej był człowiekiem nieprzeciętnie inteligentnym. Kolejną cechą, która pozwalała mu bez wysiłku osiągać dobre stopnie w szkole była bardzo dobra pamięć. Andrzej siedząc na lekcji od czasu do czasu przeglądając Twittera ze słuchu zapamiętywał tak dużą ilość szczegółów, że bez problemu nie przygotowując się do specjalnie sprawdzianów pisał je na takim poziomie, na który niektórzy kując nie mogli się wznieść. Zawsze śmialiśmy się między sobą, kiedy wychodził z ławki, aby odebrać sprawdzian z biologii, do którego się nie przygotował, a wracał z uśmiechem.

Andrzejek potrafił zrobić wiele dla swoich przyjaciół. Pamiętam, jak zaprosił mnie na 19 urodziny, po których nie miałem transportu do domu. Andrzej w środku nocy przez godzinę obdzwaniał wszystkich znajomych, aby mnie nie zawieść i odstawić do domu. I nigdy nie zawiódł. Zapamiętam go jako osobę, do której mogłem napisać o każdej porze. Zawsze poświęcał mi swoją uwagę, potrafił doradzić w trudnych sytuacjach, zawsze starał się mnie zrozumieć i szczerze przedstawić swoje zdanie na każdy temat. Będę miał go w pamięci, jako duszę towarzystwa. W tej roli na imprezach czuł się bardzo dobrze. Ale przede wszystkim zapamiętam Andrzejka jako wspaniałego, bezinteresownego człowieka i przyjaciela, którego brak będę odczuwał jeszcze bardzo długo.

Zdaję sobie sprawę, że to co napisałem, może brzmieć jak banalne wspomnienie o zmarłym, w którym zapomina się o jego wadach. Jednak doszliśmy w naszym koleżeńskim gronie do wniosku, że mieliśmy ogromne szczęście poznać człowieka, któremu po śmierci nie musimy nic dodawać ani nic odejmować. Po prostu możemy szczerze mówić jakim człowiekiem był. A był człowiekiem wyjątkowym (...).

(MOL)

Współwłaściciel Wisły Kraków Jarosław Królewski ustawił na twitterowym profilu swoje zdjęcie z Andrzejem jako główne

REKLAMA

Całkiem nowy semafor kolejowy

Izba Tradycji Kolejarzy Węzła Nowosądeckiego, którą opiekują się członkowie Nowosądeckiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei, wzbogaciła się w ostatnim czasie o kolejny ciekawy eksponat - realistyczny, wykonany w skali 1:1, semafor kolejowy.

W pracach nad skonstruowaniem semafora świetlnego, czyli sygnalizatora kolejowego, przeznaczonego do sterowania ruchem kolejowym poprzez wizualne informowanie maszynisty przy pomocy kolorowych świateł, brali udział członkowie NSMK, w tym głównodowodzący pracami Marcin Nalepa.

- Jest to semafor kolejowy pięciokomorowy, czyli największy z możliwych. Ta sygnalizacja świetlna posiada aż 11 sygnałów, służących do sygnalizowania tego, co dzieje się przed semaforem, za semaforem oraz przed kolejnym semaforem, oczywiście na szlaku kolejowym, a także na stacji - tłumaczy Marcin, z wykształcenia inżynier elektrotechniki.

Semafor świeci w następujących kolorach: pomarańczowym (2 komory), zielonym, białym i czerwonym.

- Semafor powstał z myślą o tym, by odtworzyć zwykłą, normalną pracę semafora pięciokomorowego. Co ciekawe, został również wzbogacony o możliwość pracy w takt muzyki. Taka wersja disco. Semafor bardzo ładnie błyska w rytm muzyki, którą włączymy - śmieje się Marcin.

Semafor jest bardzo okazały, ma blisko 4 m wysokości. - Same komory, wraz z blachą przednią, mają 198, 5 cm długości. Pomysł zbudowania semafora kolejowego zrodził się spontanicznie w gronie osób zaangażowanych w doraźne prace związane z utrzymaniem kolejowej Izby Tradycji.

- Na terenie Izby znajdował się już rozpoczęty niegdyś semafor, trzykomorowy, nad którym prace nie zostały zakończone. Uznaliśmy, że skoro mamy możliwości techniczne i organizacyjne, zrobimy semafor pięciokomorowy, czyli większy - taki robi dużo większe wrażenie. Część elementów potrzebnych do zbudowania sygnalizacji pozyskaliśmy od PKP Polskie Linie Kolejowe - wyjaśnia Łukasz Wideł, wiceprezes Nowosądeckiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei.

Elementy elektryczne, takie jak sterowanie, przewody czy światełka, zostały już jednak zakupione. - Montaż semafora trzeba było dobrze przemyśleć i zorganizować. Prace trwały ponad dwa miesiące. Opłacało się, bo efekt jest niesamowity - uważa Marcin Nalepa.

Członkowie stowarzyszenia są zdania, że semafor będzie cieszył się dużym zainteresowaniem wśród osób odwiedzających Izbę Tradycji Kolejarzy Węzła Nowosądeckiego.

AGNIESZKA MAŁECKA

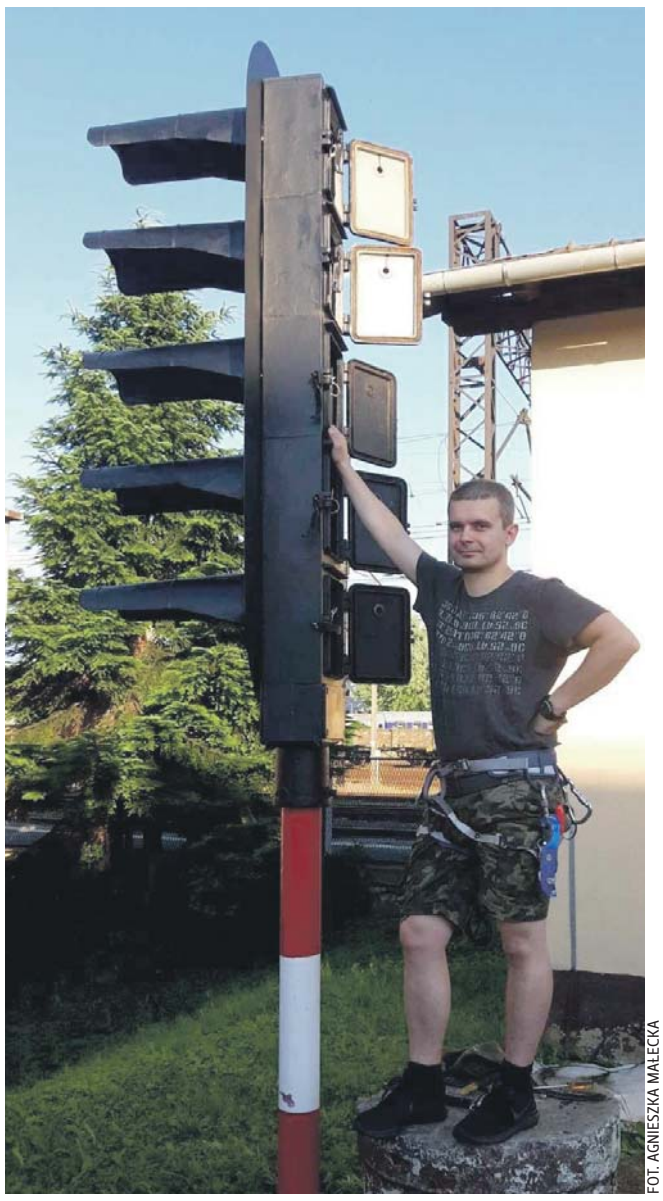

FOT. AGNIESZKA MAŁECKA

Odpoczywaj w Polsce! Wymarzone wakacje pomoże zaplanować „mapa inspiracji” Polskiej Organizacji Turystycznej

Cudze chwalicie, swego nie znacie! Słynne porzekadło autorstwa Stanisława Jachowicza śmiało można odnieść do wielu Polaków, którzy spędzają urlop poza granicami naszego kraju nie mając świadomości, że w Polsce jest mnóstwo miejsc, gdzie można wybrać się na wakacje marzeń. Teraz, kiedy pandemia i wszystkie związane z nią ograniczenia sprawiły, że rozważamy raczej wypoczynek bez dalekich podróży, nadarza się świetna okazja, aby wreszcie zobaczyć jak piękna jest Polska i jak wiele atrakcji turystycznych w malowniczych regionach mają nam do zaoferowania. Polska Organizacja Turystyczna z myślą o wszystkich, którzy stają przed urlopowym dylematem spieszy z pomocą, z której można skorzystać nie wychodząc z domu.

Polska pełna jest miejsc – niespodzianek, które mogą zaskoczyć nawet wytrawnych podróżników, bez względu na preferencje związane |z formą wypoczynku. Możemy wybrać między zacisznymi azylami, oazami spokoju, gwarem popularnych kurortów, klimatem górskich wędrówek, błogością plażowania lub żeglowania – to wszystko, o czym marzymy w zimowe wieczory lub siedząc w pracy w ponury dzień, mamy u siebie.

W ramach kampanii „Odpoczywaj w Polsce” eksperci Polskiej Organizacji Turystycznej stworzyli mapę inspiracji, która z pewnością pomoże wybrać miejsce na urlop idealne dla każdego. Mapa zawiera propozycje zarówno dla osób planujących dłuższy urlop, jak i dla takich, którzy mogą przeznaczyć na wypoczynek zaledwie kilka dni. Przyda się osobom, które zamierzają spędzić czas urlopu w rodzinnym gronie, z dziećmi oraz poszukującym przygód grupom przyjaciół i „solistom”.

W stworzenie bazy najpiękniejszych miejsc w niemal każdym zakątku naszego kraju włączyły się regionalne i lokalne organizacje turystyczne. Na „mapie inspiracji” znajdziemy rekomendowane przez Polską Organizację Turystyczną miejsca-perełki, obiekty, które uzyskały Certyfikat POT, tytuł „Polska Marka Turystyczna”, oraz „miejscówki”, które zwyciężyły w konkursach „EDEN – European Destination of Excellence” i „Na wsi najlepiej – 12 dobrych praktyk w turystyce wiejskiej”. Na mapie zaznaczono także obiekty z listy świtowego dziedzictwa UNECO oraz Parki Narodowe.

Po czasie spędzonym w domach i wielotygodniowej izolacji jesteśmy spragnieni podróżowania – potwierdzają to badania sondażowe POT. Wynika z nich także, że aż 87% Polaków, zamierza spędzić tegoroczny urlop w kraju. Najczęściej wybierane kierunki to góry (34%), morze (27%) lub miejscowości położone przy jeziorach (16%).

Stopniowe odmrażanie branży turystycznej sprzyja planowaniu wyjazdów zatem do dzieła! Wystarczy wejść na stronę: https://odpoczywajwpolsce.pl i spośród bogatej oferty wybrać region lub województwo gdzie chcielibyśmy spędzić czas wypoczynku. Można też najpierw wskazać, co chcielibyśmy robić w wakacje: czy na przykład korzystać ze spa lub innych atrakcji uzdrowisk, czy może uprawiać ulubioną dyscyplinę sportu, albo zwiedzać? Propozycje skrojono na miarę dla ludzi od lat 2 do 102 lat, uwzględniając bardzo różnorodne gusta.

Więcej o kampanii można dowiedzieć się oglądając „Pytanie na Śniadanie” na antenie TVP, gdzie od 6 czerwca przez osiem tygodni co weekend emitowany jest program dotyczący kolejnego magicznego miejsca wytypowanego przez regionalne organizacje turystyczne. Akcja promowana będzie także w ogólnopolskich i tematycznych stacjach telewizyjnych jak TVP oraz Polsat i Polsat News. Będą mogli dowiedzieć się o niej także pasażerowie pociągów PKP Intercity.

Ziemia Sądecka i okolice również mają sporo do zaoferowania. Odwiedziliście już Małopolską Wieś dla dzieci w Łukowicy? A może macie ochotę na własne oczy zobaczyć Chatkę Włóczykija w Jamnej? Znajdzie się też coś dla cyklistów. Park Rowerowy Wierchomla w Piwnicznej Zdroju również można znaleźć na mapie inspiracji.

A teraz ręka do góry, kto nie widział przynajmniej jednego z tych miejsc. Może jedna z tych propozycji stanie się dla naszych Czytelników dobrym pomysłem na urlop blisko domu.

Takich ciekawych miejsc w naszym kraju jest całe mnóstwo. Przekonajcie się sami!

Tu, gdzie fruwały ciupagi

W Zielonym Gaju w Jastrzębiu k. Łukowicy można doświadczyć wsi jakiej już nie ma. Tutaj historia jednego bochenka chleba trwa dłużej niż opowieść o drodze do piekarni. W zagrodzie gdaka, grucha, beczy i pieje kilkaset zwierząt, a domowe sufity pamiętają czasy, kiedy o dobrej zabawie świadczył tragarz podziurawiony przez fruwające ciupagi. Przytulny drewniany dom z bali na ojcowiźnie Franciszka Sikonia, wysiłkiem całej rodziny przemienił się w mały skansen.

Trzy pokolenia tworzą gospodarstwo edukacyjne „W Zielonym Gaju"

Wysiadam z samochodu, witana strugami deszczu i znakami dymnymi unoszącymi się znad wędzarni. Jeszcze o tym nie wiem, ale za chwilę spróbuję pierwszego w swoim życiu wędzonego pstrąga, pochodzącego z przydomowego stawu. Do tego woń kwiatów, w tym bujnej białej lilii. Szalona mieszanka zapachowa. Z okien drewnianego domu z bali radośnie wyglądają krakowiaki.

Stare gospodarstwo od dwóch lat przechodzi nieustanną metamorfozę. Spełnia się w ten sposób marzenie Agaty i Krzysztofa Kwitów, którzy z wielkim entuzjazmem przywracają życie dawnym wnętrzom. Pan Franciszek wspiera córkę i zięcia, zarówno wiedzą fachową jak i umiejętnościami. Zarządzając przeprowadzkę do nowego domu zastrzegł, że ten stary nigdy nie zostanie zburzony. Rzeczywistość przerosła jego oczekiwania, bo drewniana chata nie dość, że dalej stoi, to jeszcze ożyła, za sprawą gości odwiedzających gospodarstwo „W Zielonym Gaju".

Budynek dzieli się na kuchnię i izbę. Konstrukcja połączona jest z wiatą, gdzie odbywają się pogadanki edukacyjne. Wejście do tych pomieszczeń oznacza prawdziwą podróż w czasie. Zagadkowe przedmioty przyciągają wzrok i budzą pytanie: do czego to służyło? Są tu buty drewniaki podkuwane podkową, a tu waga z 1866 r., tu widzimy ręczne żarna.

– Dzieci zadziwia to, że kiedyś nie mając elektryczności, wielu maszyn, można było wykonywać codzienne czynności, w większości własnymi rękami – podkreśla Agata Kwit. – One tę wiedzę chłoną i zapamiętują. Chcą tutaj wracać. A jedna z wycieczek ułożyła dla nas wiersz – dorzuca Franciszek Sikoń.

Już niedługo zostanie odbudowany piec chlebowy, dzięki któremu goście zobaczą na własne oczy, jak się wypiekało chleb na łopacie i podpłomyki. Cały czas przybywa też wyposażenia

– Spotkaliśmy się z ogromną serdecznością. Wielu ludzi oczami wyobraźni widziało nasze marzenie zanim się spełniło. Dostaliśmy mnóstwo eksponatów. Ludzie mówili, że u nich to zniszczeje, że chcą nam dać te rzeczy. Bardzo za nie dziękujemy – dodaje pani Agata. W izbie słychać gruchanie i trzepot skrzydeł. To setki gołębi zamieszkujących strych. Hodowla tych ptaków to pasja Franciszka Sikonia, która przynosi mu nie tylko radość, ale i trofea. Oglądam dokładnie wszystkie puchary i statuetki przyznane hodowcy. Ptactwa domowego też tu jest dostatek. Hałasuje, dziobie ziarno i przyciąga najmłodszych gości, którzy w pobliskiej zagrodzie spędzają sporo czasu, zachwycając się różnorodnym upierzeniem. W gospodarstwie są także indyki, perliczki czy króliki. Wycieczki szkolne zdołały też oswoić barana, który jest teraz na tyle towarzyski, że daje się dosiadać co odważniejszym turystom.

– Wtedy zamiast rodeo jest baraneo – śmieją się gospodarze. – Chcemy pokazywać wieś taką, jaka jest teraz oraz jej historię, temu służy skansen. Na przykład pod koniec sierpnia pokażemy jak się kosiło kosą zboże, jak się robiło snopki, jak się je wiązało czy robiło kucki, czyli po naszemu te stożki zrobione ze zboża – wyjaśnia Agata Kwit. W granicach gospodarstwa znajduje się też las, przez który prowadzi ścieżka edukacyjna.

– Ma ona za zadanie pokazywać piękno przyrody oraz jej skarby, czyli to wszystko co natura może nam dać, a więc drzewa czy zioła. Kładziemy też nacisk na ochronę przyrody. Ekspert Gorczańskiego Parku Narodowego, Marek Ruciński, zdiagnozował nasz fragment lasu jako buczynę storczykową. Mamy tutaj podkolana białego, kruszczyka szerokolistnego czy bardzo rzadkiego buławnika mieczolistnego – wyjaśnia. O tym, że w granicach gospodarstwa znajdują się cenne i wymagające ochrony rośliny wiedziano tu jednak od dawna.

– Mój ojciec zmarł, kiedy byłem w piątej klasie szkoły podstawowej, ale do dziś pamiętam jak mi mówił, które rośliny są chronione i tłumaczył, żeby je szanować. Uczyłem tego dzieci. Jestem dumny, że rozumieją to także wnuki – dodaje Franciszek Sikoń, który nie zważając na spory o etnograficzną granicę z terenem Lachów sądeckich uważa się za górala.

– Myśmy się ubierali w sukniaki i kierpce. W izbie był nawet ślad po dawnych zabawach... pocięty tragarz od ciupagi, którą się wysoko podrzucało. Nie mam nic do Lachów, ale ja się zaliczam do górali – podsumowuje.

Gospodarstwo edukacyjne „W Zielonym Gaju" zwiedzają głównie wycieczki i grupy szkolne. Możliwe jest także zwiedzanie indywidualne dla rodzin, ale tylko po wcześniejszym umówieniu. Dane kontaktowe można odszukać na stronie internetowej i Facebooku. Tegoroczne wakacje przyniosły rodzinom Sikoniów i Kwitów prestiżowe wyróżnienie. Gospodarstwo dołączyło do Ogólnopolskiej Sieci Zagród Edukacyjnych. W samej Małopolsce jest ich blisko 30 i mają one promować polską wieś, jako miejsce sprzyjające wypoczynkowi i poszerzaniu wiedzy.

– Jastrzębie staje się dzięki tej atrakcji coraz lepiej znane. Wielkim sukcesem była żywa szopka przygotowana przez gospodarzy na Jarmark Bożonarodzeniowy – zauważa wójt gminy Łukowica, Bogdan Łuczkowski. – Miałem okazję zwiedzać to gospodarstwo i gratuluję wyróżnienia, które wpisuje się w charakter naszej gminy. Na naszym terenie przeważa rolnictwo i sadownictwo. Te branże potrafią być pasjonujące i można je śmiało połączyć z potencjałem turystycznym. Cieszę się, że coraz więcej mieszkańców podejmuje aktywność w tym kierunku – dodaje.

Dla gospodarzy z Jastrzębia dołączenie do sieci zagród jest kolejnym dowodem na to, że warto mieć śmiałe plany i dążyć do ich spełnienia.

– To jest nasze marzenie, to jest to, co chcemy robić z zamiłowania do ziemi, do przyrody i do zwierząt – podsumowuje Agata Kwit.

(KP)

REKLAMA

TEKST SPONSOROWANY

Stary Sącz ...na rowerowym szlaku

W Starym Sączu krzyżuje się wiele rowerowych dróg. Karpacki Szlak Rowerowy wyznaczony przez Sądecką Organizację Turystyczną poprowadzony jest na trasie historycznego szlaku handlowego z południa Europy do Wieliczki i Krakowa. Dla miłośników historii przeznaczony jest łatwy Królewski Szlak Rowerowy. Szlak nawiązuje do historycznych miejsc pobytu i przejazdu królów. A Stary Sącz to wiadomo - Jan III Sobieski i Marysieńka.

Światowy dzień roweru co prawda za nami, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by roweru używać nie tylko od święta. Wiele osób już się przekonało, że Stary Sącz to miejsce idealne na rowerowy wypad dla całej rodziny. Samo miasto pokrywa sieć ścieżek rowerowych, którymi można dotrzeć do zabytkowego rynku, klasztoru klarysek, czy Ołtarza Papieskiego.

Opcją godna polecenia jest rozpoczęcie wyprawy rowerowej w okolicy Parku Wodnego "Stawy". Stamtąd można pojechać wzdłuż Popradu trasą Euro Velo 11 w stronę Barcic, zrobić wycieczkę do zamku w Nowym Sączu i z powrotem przeprawiając się kładką rowerową przez Poprad, lub skorzystać z odcinka Velo Dunajec krążąc wokół Enklawy Przyrodniczej Bobrowisko. Już niedługo trasa powinna być gotowa w całości - biegnie od Zakopanego i z pewnością będzie rywalizowała o miano najpiękniejszej trasy rowerowej w Polsce - oczywiście z przystankiem w Starym Sączu.

Na bardziej zaawansowanych rowerzystów czekają trasy wśród lasów Miejskiej Góry stworzone w ramach projektu Centra Aktywnego Wypoczynku.

W Starym Sączu oczywiście można wypożyczyć rower:

- Diecezjalne Centrum Pielgrzymowania Opoka (przy okazji można zwiedzić bezpłatnie Ołtarz Papieski i znajdujące się tam małe, ale bardzo ciekawe muzeum poświęcone Janowi Pawłowi II),
- JM Bike Service ul. Piłsudskiego 4 (dodatkowo bardzo profesjonalny serwis i sklep rowerowy),
- Mobi Sport przy Parku Wodnym "Stawy" (oferuje prócz rowerów przyczepki i foteliki dla dzieci oraz hulajnogi i skutery elektryczne).
- Hulajnogi elektryczne można wypożyczyć w Starym Sączu przy ul. Kazimierza Wielkiego 3 (Pro Ride).

REKLAMA

Wikar Nowy Sącz ul. Węgierska 168, tel. 18 414 0 414 www.wikar.pl

*Propozycja odroczenia spłaty do 6 miesięcy:
Propozycja dostępna przy wpłacie własnej od 25%. Propozycja skierowana jest do przedsiębiorców. Nie jest ofertą w rozumieniu Kodeksu cywilnego i może ulec zmianie m.in. z uwagi na kondycję ekonomiczną Korzystającego lub warunki dostawy samochodu. Propozycja obowiązuje dla umów leasingu zawartych w ramach programu Ford Leasing oraz Ford Leasing Opcje prowadzonego wspólnie z Santander Leasing S.A.

Zużycie paliwa i emisja CO_2 określone na podstawie pomiarów w cyklu WLTP (Światowa zharmonizowana procedura badań pojazdów lekkich) dla Forda: Ranger Podwójna kabina Limited 2.0 EcoBlue Bi-Turbo 213 KM A10 4x4: 8.8-9.2 l/100 km, 229-239 g/km; Transit Custom Van Limited 320 L2 2.0 EcoBlue 170 KM M6: 7.0-8.0 l/100 km, 183-209 g/km; Transit Van 350 L4 Trend 2.0 New EcoBlue 170 KM M6 RWD: 8.4-9.5 l/100 km, 219-249 g/km.
Na zdjęciu Ford Ranger Wildtak, Transit Custom Limited, Transit Limited.

PARK ROWEROWY

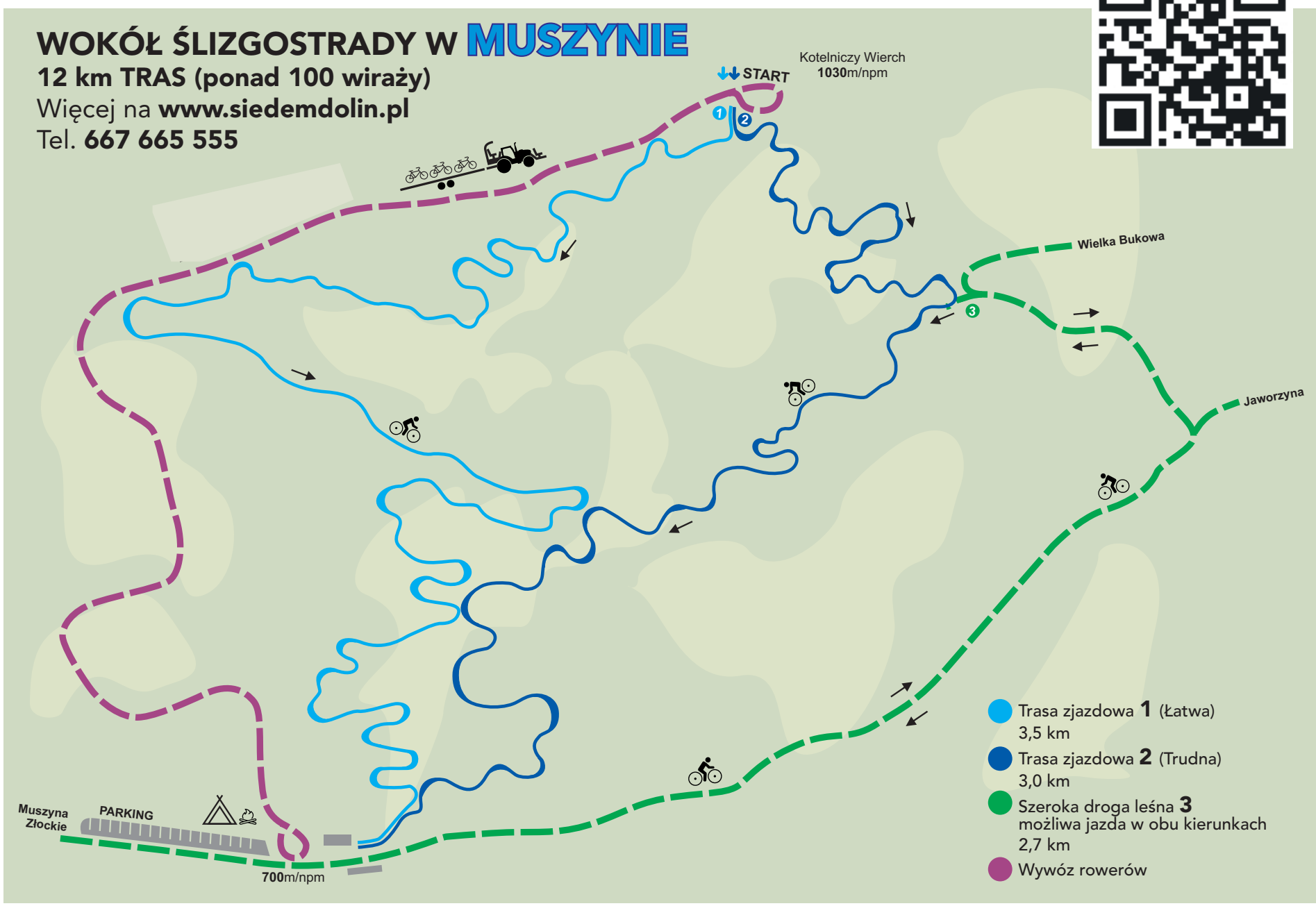

dowóz do Klienta powyżej 100 zł GRATIS

takiej pralni jeszcze nie było!

MAGIK

PRALNIA WODNO-CHEMICZNA

Profesjonalizm i Doświadczenie

RESTAURACJE I HOTELE

Kompleksowa obsługa w zakresie prania, krochmalenia oraz maglowania tak istotnych dla hotelarstwa i gastronomii rzeczy jak: obrusy, serwety, pościel, koce, ręczniki, firany, zasłony, odzież firmowa.

KLIENCI INDYWIDUALNI

Nasi Klienci mają możliwość prania wodnego oraz chemicznego, czyli czyszczenia na sucho, zarówno odzieży letniej jak i zimowej m.in.: płaszcz, kurtka, garnitur, garsonka. Czyścimy również kożuchy, futra, skóry, ale także dywany, obrusy, koce, pościel, narzuty.

www.pralniamagik.pl

Stary Sącz, ul. Nadbrzeżna 20 (vis a vis Orlen), tel. 18 400 01 10

Nowy Sącz, ul. Urocza 48 (osiedle Helena), tel. 18 443 03 23

Kamienie znalezione nad rzeką

Agnieszka Małecka

Kiedyś wybrał się z córką nad rzekę, gdzie na kamieńcu zaczął zbierać... kamienie. Tak zaczęła się jego przygoda z kamiennymi kompozycjami. Dziś jedną ze ścian w domu Stefana Kołodzieja zdobi ponad setka barwnych kamiennych rzeźb. W jego pracowni nie brak również glinianej ceramiki.

Stefan Kołodziej jest ojcem malarki Marty Kołodziej, która swój talent, przejawiający się w malarstwie naiwnym, realizowała we Francji. Obecnie w Szwajcarii ma własną galerię sztuki. Uzdolnienia artystyczne odziedziczyła po ojcu.

– Wszystkie rysunki w szkole podstawowej na zajęciach plastycznych, musiałem oddawać nauczycielce, bo tak jej się podobały. Nieżyjąca już pani Gorgoniowa pierwsza zauważyła, że mam jakiś tam talent – wspomina Stefan Kołodziej.

Z zawodu jest stolarzem. W domu prowadził warsztat. Na dole stały maszyny do cięcia drewna i tokarka. Cepelia, bo tak potocznie nazywano jego zakład, wytwarzała drewniane kasetki, które potem ozdabiała Marta z innymi plastyczkami. Cepelia Stefana Kołodzieja funkcjonowała przez 15 lat. Później córka wyjechała do Francji, a on zaczął tworzyć w kamieniu.

Kamień na kamieniu

– Kiedy córka wróciła z Francji chodziliśmy nad rzeką. Znosiła zebrane kamienie do domu i coś na nich malowała. Nie zwracałem na to wówczas uwagi. Kiedy miała wracać za granicę, pokazała mi swoje kamienie. Nie ukrywam, że te rysunki zainspirowały mnie. Z czasem sam zacząłem zbierać kamienie i tworzyć z nich artystyczne kompozycje – opowiada Kołodziej.

Kamienie wybierał odpowiednio gładkie i duże. Nie poddawał ich żadnej obróbce mechanicznej.

– To jest właśnie fenomen tych prac. Przez kilka lat szukałem artystów, tworzących podobne kompozycje. Dzięki internetowi dowiedziałem się o pewnej Japonce, która robiła coś podobnego z kamieni. Mój angielski nie pozwalał mi się z nią dogadać – śmieje się artysta.

W domowym zaciszu Stefan Kołodziej tworzył swoje prace. Pojawił się jednak problem z ich transportem na wystawę.

– Kiedy kamienie wisiały na ścianie, wszystko się trzymało. Drgań podczas jazdy samochodem moje kompozycje już jednak nie wytrzymywały, poszczególne części po prostu odpadały. Wymyśliłem więc, by wtopić w kamienie metal i dodatkowo użyć kleju. Jak ktoś złamie rękę albo nogę, czasem lekarze wszczepiają mu metalowe śruby. Odkryłem, że to dobry sposób na połączenie kamiennych elementów – wyjaśnia twórca.

Na ścianie pracownik Stefana Kołodzieja wiszą kamienne ryby, ptaki, motyle, jaszczurki, jest kot i ważka – kompozycja z największej ilości kamiennych części. Zaprezentował je szerszej publiczności podczas wystawy, w październiku 2010 r., w galerii Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Nowym Sączu.

Kiedy kamienie wisiały na ścianie, wszystko się trzymało. Drgań podczas jazdy samochodem moje kompozycje już jednak nie wytrzymywały, poszczególne części po prostu odpadały. Wymyśliłem więc, by wtopić w kamienie metal i dodatkowo użyć kleju. Jak ktoś złamie rękę albo nogę, czasem lekarze wszczepiają mu metalowe śruby

– Wszyscy wówczas pytali mnie o ten klej. Co zrobiłem, że tak to się wszystko ładnie ze sobą trzyma. Gotowe prace malowałem farbami akrylowymi, a następnie lakierowałem. Nie ukrywam, że w malowaniu inspirowałem się po części twórczością rdzennych mieszkańców Australii – Aborygenów. Czytałem o ich malunkach i dowiedziałem się, co jest dobrze widoczne na ich malowidłach, że podczas malowania używają dużej ilości kropek. Stąd te moje nakrapiane ryby.

Stefan Kołodziej co roku bierze udział w Art Naif Festiwal – jedynym w Polsce i zarazem największym w Europie, międzynarodowym festiwalu sztuki naiwnej, podczas którego prezentowane są prace artystów nieprofesjonalnych z całego świata. Impreza odbywa się latem w Galerii Szyb Wilson w Katowicach.

– W tym roku Art Naif Festiwal rozpoczął się 26 czerwca i potrwa do 21 sierpnia. W tym wyjątkowym roku, naznaczonym epidemią koronawirusa, tematem przewodnim jest po prostu sztuka naiwna, która jednoczy artystów z całego świata. Przynosi optymizm, posiada niezwykłą, terapeutyczną moc, uzdrawiającą zarówno jej twórców jak i odbiorców. Hasło trzynastej edycji brzmi: W stronę słońca – mówi artysta, który swoje prace prezentuje też na nowosądeckim Jarmarku Anielskim.

Glina jak plastelina

Obecnie znacznie więcej czasu pan Stefan poświęca na tworzenie rzeźb ceramicznych. Najczęściej są to skomplikowane postacie ludzi i zwierząt.

– Wymyśliłem swoją technikę, by prace nie były zbyt ciężkie. Tworzę figury puste w środku. Ciężar gliny jest mniejszy i jest jej mniej, jest przez to wydajniejsza. Wypalanie prac w piecu też idzie gładko – objaśnia.

Większe gliniane postaci schną 2–3 tygodnie na wolnym powietrzu. Przez pierwszy tydzień trzyma je pod folią. Bez tego glina pęka. Potem prace dosychają, a następnie trafiają do pieca ceramicznego gdzie poddawane są działaniu temperatury do 1200 stopni.

– Bardzo ważna jest jakość gliny. Kiedyś korzystałem przeważnie z gliny czeskiej i słowackiej, a ostatnio najchętniej pracuję w glinie niemieckiej. Jest bardzo plastyczna, łatwo się poddaje, nie brudzi się i nie jest droga. Marzy mi się modelowanie jeszcze większych, ciekawych brył, ale rozmiary pieca mnie nie puszczają.

Wykorzystywać talent i tworzyć

Zdaniem Stefana Kołodzieja każdy, kto zajmuje się jakąkolwiek działalnością artystyczną, powinien pielęgnować swój talent. W domu Kołodziejów przypomina o tym kamienna rzeźba z wizerunkiem Henri Rousseau, francuskiego malarza naiwnego, który choć imał się różnych prac zawodowych, to jednak tworzył przez całe życie.

– Jestem zdania, że dopóki oczy widzą, a ręce są sprawne, to trzeba tworzyć. Ze sztuką łatwiej jest iść przez życie. To się sprawdza, sam to przetestowałem. Pasja trzyma człowieka przy życiu – przekonuje Stefan Kołodziej.

Uczelnia wyznaczająca standardy przyszłości

Tylko **3 proste kroki** dzielą Cię od zdobycia wyższego wykształcenia na nowoczesnej uczelni.

01

Wybierz kierunek

- Psychologia
- Zarządzanie
- Informatyka

02

Wybierz jedną z wielu specjalności

03

Wybierz model studiowania

- RealTime Online
- Stacjonarnie
- lub niestacjonarnie

WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU NATIONAL-LOUIS UNIVERSITY

UWE Uniwersytet Wirtualnej Edukacji

www.wsb-nlu.edu.pl www.uwe.edu.pl

Tak Ty możesz chronić środowisko

Wybierz e-fakturę i bądź jak my – ekologiczny. E-faktura wraz z całą aplikacją e-BOK Sądeckich Wodociągów daje szerokie możliwości, a dodatkowo pozwala każdemu użytkownikowi być bardziej ekologicznym.

Dzięki systemowi elektronicznej obsługi klienta wiele spraw już dziś można załatwić bez wychodzenia z domu. Wystarczy wejść na stronę swns.pl, kliknąć ikonkę e-bok i zarejestrować się w Elektronicznym Biurze Obsługi Klienta (proces rejestracji trwa do dwóch dni roboczych – Klient otrzymuje e-mail od Administratora, że usługa została aktywowana). Korzystając z usługi e-BOK klient zyskuje m.in.:

- szybki dostęp do informacji związanych z rozliczeniami,
- elektroniczne płatności,
- bieżące informacje o awariach i planowych wyłączeniach wody,
- powiadomienie o ewentualnym wycieku w instalacji wewnętrznej (dla Klientów, którzy mają nakładkę radiową na wodomierzu).

Dodatkowo w zakładce „sprawy" można wybrać opcję miesięcznych (zamiast kwartalnych) rozliczeń z przedsiębiorstwem.

Dla wygody Klientów Sądeckie Wodociągi posiadają także usługę m-BOK. Aplikację na telefon można pobrać ze strony e-BOK przedsiębiorstwa.

Tak My chronimy środowisko

Sądeckie Wodociągi zakończyły duży, nowatorski, przynoszący oszczędności w funkcjonowaniu przedsiębiorstwa projekt. W oczyszczalni ścieków w Nowym Sączu działa już nowe urządzenie służące do produkcji energii elektrycznej i cieplnej wraz z linią przygotowania biogazu (paliwa do produkcji energii elektrycznej i cieplnej).

Dziś oczyszczalnia Sądeckich Wodociągów jest samowystarczalna – własna produkcja energii elektrycznej i cieplnej pokrywa 100 procent zapotrzebowania obiektu. W Europie jest tylko około 40 takich oczyszczalni. Dodatkowo inwestycja jest ekologiczna. Powstający w procesie oczyszczania ścieków biogaz, który zawiera gaz cieplarniany, czyli metan, w całości wykorzystany jest do produkcji energii elektrycznej i cieplnej. Nie trafia, więc do atmosfery. Poprawiła się tym samym także jakość życia w otoczeniu oczyszczalni. Dla porównania produkcja energii elektrycznej i cieplnej w oczyszczalni ścieków pokryłaby zapotrzebowanie dla około 2,5 tys. gospodarstw domowych. Jednostka kogeneracyjna (urządzenie służące do produkcji energii elektrycznej i cieplnej) ma moc elektryczną 527 kW i moc cieplną 640 kW.

Linia przygotowania biogazu (paliwa do produkcji energii elektrycznej i cieplnej)

CSZ
PTASZKOWA
CENTRUM SPORTÓW ZIMOWYCH

Centrum Sportów w Ptaszkowej:
Trasy rolkowe i nartorolkowe
Najdłuższa zjeżdżalnia w regionie
Siłownia wewnętrzna i zewnętrzna
Zajęcia z trenerem
Wypożyczalnia sprzętu

A już w lipcu nowa atrakcja!
Park linowy z 4 trasami:
- Trasa Junior
- Trasa Standard
- Trasa Trudna
- Tyrolka
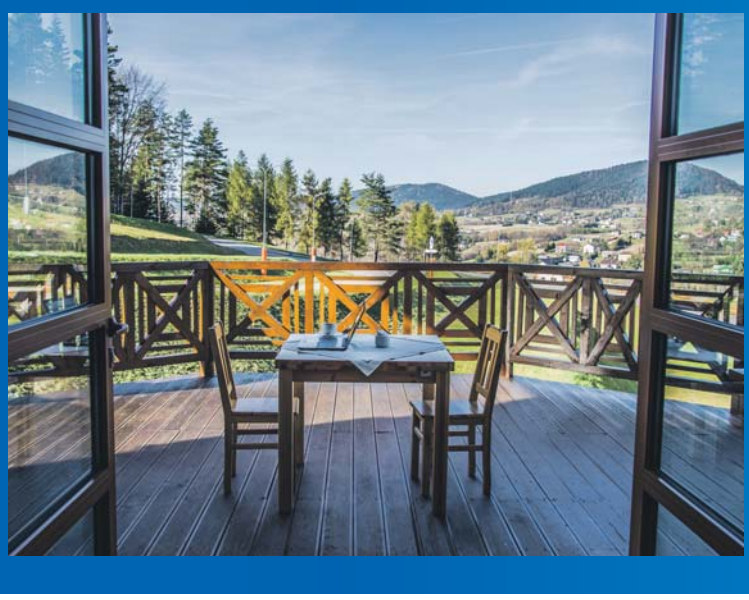
www.csz.gminagrybow.pl
FB/CSZ Ptaszkowa
Tel. +48 694 413 860